LIBERTÉ!

numer 99/październik 2024



MIASTO : EUROPA : PRZYSZŁOŚĆ

JAROSŁAW MAKOWSKI ° MAGDALENA M. BARAN ° BARTŁOMIEJ AUSTEN
IRMA KOZINA ° SYLWIA DZIEMIŃSKA ° PIOTR BENIUSZYS
DOBROSŁAWA GOGŁOZA ° KACPER KOŹLUK ° AGATA KOWALSKA
ANNA PIETRUSZKA ° KAMIL SZAŁECKI ° PIOTR KOSIEWSKI ° KRZYSZTOF KATKOWSKI



MAGDALENA M. BARAN
Redaktor prowadząca miesięcznik *Liberté!*

MIASTO WYOBRAŻONE

„Jeśli leży ci na sercu mówienie o mieście, to dlatego, że rosnąca dokuczliwość życia w nim rodzi potrzebę pytania, czym jest, czym powinno być dla nas miasto”
Italo Calvino

W każdą podróż zabieram tą samą książkę. Od miasta do miasta, od historii do historii, od jednej opowieści ku kolejnej, otwierającej nowe perspektywy. W każdym z miast czytam kilka opowieści, kierujących uwagę nie na fakty, które mogłabym wyczytać w przewodniku, ale wartość obecną tu i teraz, a jednocześnie wszędzie i zawsze. I choć nie jestem osobą przepadającą za medytacją, to poniekąd właśnie jej nienachalne echa przewijają się w miastach, które Marko Polo opowiada Kubłaj-chanowi. Tu właśnie snuje się niezwykłość niewielkiej książeczki Italo Calvino Niewidzialne miasta. Każde z nich na moment materializuje się przed oczami czytających; każde niesie własne przesłanie łączące miasto z życiem, z człowiekiem, z na pozór tylko hermetyczną narracją, ostatecznie dostępną dla każdego, kto tylko uczyni krok, by zechcieć się niej odnaleźć. Pięćdziesiąt pięć miast – miasto tysiąca studni, wielu religii, miasto o srebrnych kopułach, to pełne pracy, i to zwodnicze, obiecujące więcej niż może nam dać; są miasta znaków, pamięci, pragnień, wymiany; miasta widziane od strony morza i pustyni; miasta znalezione i ukryte, miasta żywych i umarłych, miasta zawieszone w historii, mocno osadzone we własnej, unikalnej tożsamości. Miasta przyjęcia i odrzucenia. Miasta… jak ludzie. Jak my.

Bo miasta opowiadane przez Calvino są o nas, o ludziach właśnie. O naszych bólach, rozterkach, potrzebach, uporach; o wartościach, jakie wyznajemy, ale i tych, których trzymamy się całkiem bez sensu; są o miłościach, tęsknotach, pragnieniach, zagubieniach, pewnościach, lękach. Są o różnorodności myślenia, potrzebie widzenia i wiedzenia szerzej, o ukrywaniu sekretów i wychodzeniu spraw na światło dzienne. Są o urządzaniu życia, każdego dnia. O sięganiu po nieznane, o burzeniu murów. Miasta Calvina zdają się magiczne, odległe, niezbadane, a przecież są bliskie, znajome, zwyczajne. Są opowieściami o nas, ale też szerzej, o miastach wyobrażonych, zbudowanych z potrzeb lub na potrzeby; przykrojonych do oczekiwań lub konieczności. Miasta – jak to w życiu – które wybieramy, albo które wybierają nas.

Nie są przy tym utopiami, jakie snuli Thomas Moore, Thomas Campanella czy Jonathan Swift. Nie są państwami-miastami, których potęgą szczyciła się starożytna Grecja. Nie są miastami ze współczesnych powieści science-fiction, ani też „miastem przyszłości”, które moje pokolenie oglądało w kreskówce o rodzinie Jetsonów. Te realne rozwijamy wedle planów, w których – jako obywatele – na różne sposoby możemy (i powinniśmy) brać udział. Bo są nasze. Bo mamy w nich głos. Bo sami wybieramy gospodarzy naszych miast, ale też mniejszych lokalnych wspólnot, w ramach których możemy (i powinniśmy) proponować i wprowadzać w życie własne oczekiwania, decyzje, projekty. Bez naszych wyobrażeń o mieście, bez zaangażowania w miasto, bez małych i wielkich planów, może się ono zamienić w pustynię (na którą narzekamy, że „tu nic się nie urodzi”) albo w skansen (po których hasają radośnie turyści). Miasto przyszłości musi być nasze… i to my musimy nakreślić sobie tą przyszłość. Połączyć elementy marzeń z zastaną rzeczywistością, a także ze sferą możliwości, opcji dla danego miasta/miejsca. Bo tylko wtedy poczujemy się jak w domu, do którego chce się wracać z każdej kolejnej podróży.

***

„Izydora jest miastem jego marzeń: z jedną tylko różnicą. Miasto, o którym marzył, zawierało jego w młodości; do Izydory przybywa w podeszłym wieku” – pisze Italo Calvino. Tyle że w naszych podróżach do tych do miast, do innych światów, a przede wszystkim do siebie nawzajem – Ty do mnie, ja do Ciebie – nie warto odkładać życia na później. Warto tworzyć – i nas, i miasta. Nie warto czekać, by pragnienia stały się wspomnieniami.

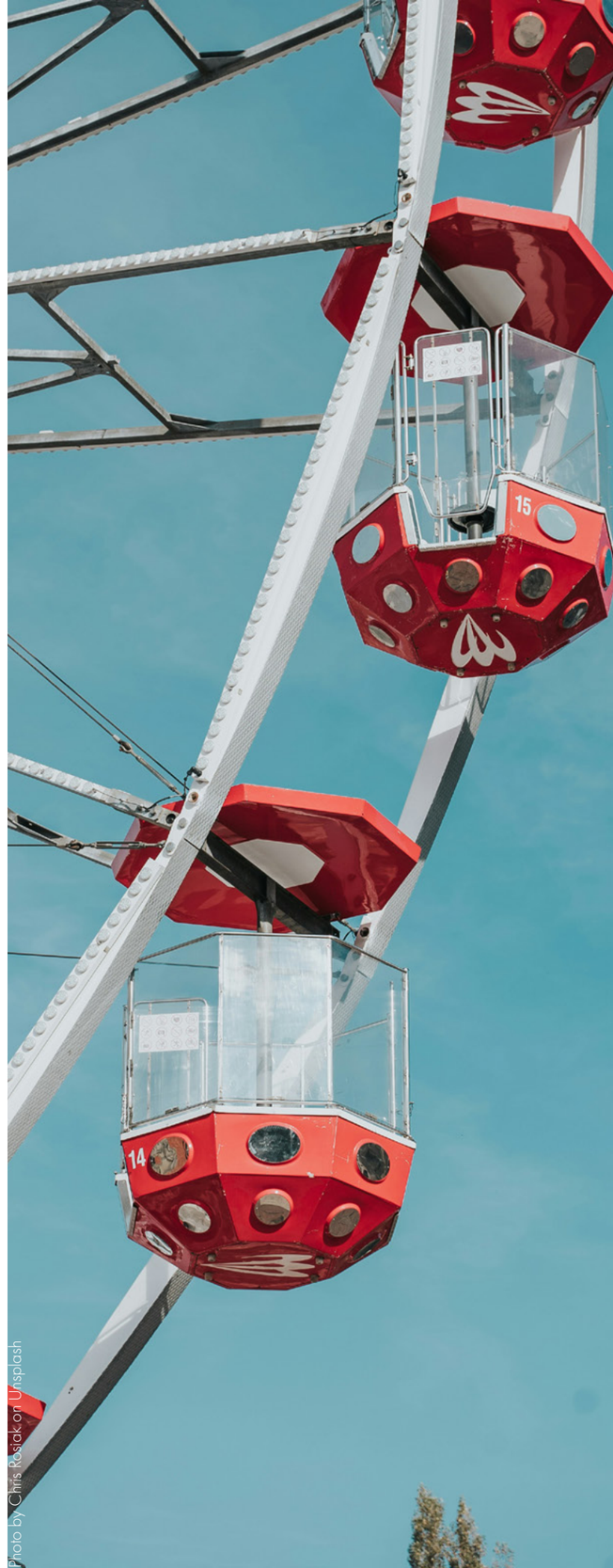


Photo by Chris Rosiak on Unsplash

MIASTO : EUROPA : PRZYSZŁOŚĆ

6 • **UTOPIJNY PRAGMATYZM, EKOLOGICZNY HEDONIZM**
Jarosław Makowski

12 • **POMÓWMY O GDAŃSKU**
Piotr Beniuszys

22 • **NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ BYTU URZĘDNIKA**
Bartłomiej Austen

28 • **KIEDYŚ. ZAWSZE. NIGDY. TERAZ**
Magdalena M. Baran

36 • **MIASTO ZARZĄDZI SIĘ SAMO – OPOWIEŚĆ O RUCHACH MIEJSKICH**
Kacper Koźluk

EKONOMIA DZIŚ

40 • **EKONOMIA POMOCY – JAK DZIELENIE MNOŻY DOBRO**
Dobrosława Gogłoza

PRZYWÓDZTWO PRZYSZŁOŚCI

46 • **STRATEGIA ZAMIAST CHAOSU: SUKCESJA W FIRMIE OKIEM PRAWNIKA. CZĘŚĆ PIERWSZA** *Agata Kowalska, Anna Pietruszka*

KULTURA DLA MYŚLENIA

52 • **POMINĄĆ NOWOCZESNOŚĆ**
Piotr Kosiewski

62 • **UNIKATOWE ZABRZAŃSKIE MOZAIKI Z CZASÓW PRL**
Irma Kozina

LEKTURY LIBERAŁA

70 • **LIBERALIZM NIE BEZ ZASAD**
Piotr Beniuszys

74 • **MANIFEST CIEMNOŚCI – CO JOHAN EKLÖF WIDZI W MROKU?**
Sylwia Dziemińska

MŁODYM GŁOSEM

78 • **ROK (WYPATRYWANIA) PRAWORZĄDNOŚCI**
Kamil Szałecki

TRZY PO TRZY

82 • **JUŻ ZA ROK... EMERYTURA**
Piotr Beniuszys

WIERSZ WOLNY

84 • **DWIE ŚMIERCI**
Krzysztof Katkowski



Photo by Robs on Unsplash

UTOPIJNY PRAGMATYZM, EKOLOGICZNY HEDONIZM

JAROSŁAW MAKOWSKI

Miasto nie jest problemem, miasto jest rozwiązaniem problemu. Tak rozumiem rolę tego złożonego organizmu, którego celem jest zapewnienie nam – mieszkankom i mieszkańcom – dobrej jakości życia.

Photo by Sylwia Bartyzel on Unsplash

1.

Miasto nie jest problemem, miasto jest rozwiązaniem problemu. Tak rozumiem rolę tego złożonego organizmu, którego celem jest zapewnienie nam – mieszkankom i mieszkańcom – dobrej jakości życia.

Katowice, jak każde miasto, to niedokończony projekt. To miejsce, które jest tworzone przez ludzi, które się zmienia dla ludzi, i które przechodzi proces rewitalizacji, by sprostać jednemu z kluczowych dziś wyzwań: zmianom klimatycznym. Ba, są tacy, którzy użyliby jeszcze innego, ważnego na Śląsku słowa: Katowice przechodzą transformację.

I rzeczywiście: transformację widać gołym okiem. Przejawem tego, jak miasto zmienia swoje oblicze, jest spotkanie kogoś, kto przez długi okres czasu nie miał okazji odwiedzić Katowic. I przyjechał do stolicy Górnego Śląska na międzynarodową konferencję czy znany festiwal. To wtedy słyszę to jakże często powtarzane zdanie: „Wow, ale Katowice się zmieniły". Albo: „myślałem, że tu będą kopalnie, a tu jest zieleń i zapierające dech w piersi obiekty – Muzeum Śląskie czy NOSPR".

To wrażenie, które jest powszechnym udziałem tych, którzy odwiedzają nasze miasto, najlepiej świadczy o tym, że Katowice pozytywnie się przeobrażają. I że miasto to zawsze niedokończony projekt, gdyż jego immanentną cechą jest zmiana i transformacja. Dla ludzi i przez ludzi.

Na miejscu byłej kopalni Katowice powstały trzy symbole dzisiejszej stolicy metropolii: NOSPR – jedna z najlepszych na świecie sal koncertowych. Muzeum Śląskie, którego przestrzeń wystawiennicza znajduje się pod ziemią. I MCK – Międzynarodowe Centrum Kongresowe, którego dachy przypominają zielone łąki

2.

Jaką zmianę przeszły Katowice? I dlaczego jest ona tak widoczna również wizualnie? Po pierwsze, Katowice były miastem górniczym. Jeszcze kilka lat temu pracowały tu – albo, by rzec dosadnie, fedrowały kopalnie. W roku 1999 na terenie miasta było czynnych 11 kopalni, a 81 proc. powierzchni miasta to były tereny górnicze. Dziś mamy rok 2024: zostały 4 kopalnie,

a obszary górnicze zajmujące powierzchnię miasta to już tylko 45 proc. Dobrym świadectwem pokazującym zachodzące przeobrażenie jest katowicka Strefa Kultury.

Dlaczego nawiązuję do Strefy Kultury? Bo jest ona przykładem filozofii, którą duński architekt Bjarke Ingels określa mianem utopijnego pragmatyzmu. Utopia, jak wiemy, to jest (nie) miejsce. To znaczy: puste miejsce. A więc możemy sobie wyobrazić, my, jako mieszkańcy, co byśmy chcieli, aby w tym miejscu stanęło.

I tak, na miejscu byłej kopalni Katowice powstały trzy symbole dzisiejszej stolicy metropolii: NOSPR – jedna z najlepszych na świecie sal koncertowych. Muzeum Śląskie, którego przestrzeń wystawiennicza znajduje się pod ziemią. I MCK – Międzynarodowe Centrum Kongresowe, którego dachy przypominają zielone łąki. Nie brakowało pytań: ale jak to, na miejscu kopalni budujemy salę koncertową czy centrum kongresowe? Po co?

Utopijny pragmatyzm otworzył nam przestrzeń do zupełnie innego spojrzenia na centralne miejsce miasta. Oto, w centrum miasta, gdzie była kopalnia, powstaje Międzynarodowe Centrum Kongresowe. Jego cechą charakterystyczną są, jak wspomniałem, zielone dachy. Mamy więc wyjątkowy budynek, w którym odbywają się kongresy czy konferencje. Ale jego dachy stają się przestrzenią do rekreacji czy spotkań mieszkańców. I to wszystko w centrum miasta.

Znakiem rozpoznawczym nowoczesnego miasta jest zielona polityka. Przez długi czas ta polityka cieszyła się powszechną akceptacją. Była łączona z koniecznością przeciwdziałania zmianom klimatycznym

Takie podejście do myślenia o mieście sprawia, że to, co wydawało się niemożliwe, czy też – na pierwszy rzut oka szalone – staje się faktem. Lęk przed utopią w tym przypadku, to lęk przed odwagą wychodzenia poza utarte schematy w projektowaniu przestrzeni miasta. Takie lęki trzeba przekraczać.

3.

Innym znakiem rozpoznawczym nowoczesnego miasta jest zielona polityka. Przez długi czas ta polityka cieszyła się powszechną akceptacją. Była łączona z koniecznością przeciwdziałania zmianom klimatycznym. Jednym z jej elementów jest budowa przez miasta strategii adaptacyjnej do zmian klimatu. Wielotygodniowe susze, nagłe, intensywne opady, podtopienia, miejskie wyspy ciepła, to tylko te najbardziej namacalne dla mieszkańców konsekwencje zmian klimatu.

Co się stało, że dziś termin „zielony ład" budzi raczej irytację niż nadzieję? Jakiś czas temu uczestniczyłem w debacie oksfordzkiej organizowanej przez katowickie licea, dotyczącej sprawiedliwej transformacji naszego regionu. W czasie ogólnej dyskusji wstał chłopak, który powiedział, że należy do tzw. „Ostatniego Pokolenia". Przekonywał, że doskonale rozumie, iż negatywne konsekwencje zmian klimatu wpływają fatalnie na nasze życie. Pytał zarazem: dlaczego dzieje się tak, iż koszty walki ze zmianami klimatu przerzucane są na najbiedniejszych. I dalej: dlaczego dzieje się tak, że na konferencje dotyczące zmian klimatu polityczni przywódcy i gospodarczy liderzy gotowi są przylatywać swoimi prywatnymi samolotami? Jak łatwo się domyśleć, jego wypowiedź wzbudziła powszechny entuzjazm młodych ludzi. Ale pytanie, które powinniśmy dziś sobie postawić jest jeszcze inne: co takiego się stało, że słuszna agenda przeciwdziałania zmianom klimatycznym dostała zadyszki?



Photo by Sebastian Bednarek on Unsplash

Otóż moim zdaniem zdecydowały o tym dwie sprawy. Po pierwsze, zideologizowanie kwestii klimatycznych. Politycy czy aktywiści mówią o zmianach klimatycznych językiem ideologii. To znaczy: „jeśli nie godzisz się przeciwdziałać zmianom klimatu, to znaczy, że jesteś ślepy i głuchy". Tyle że w krótkiej perspektywie ideologią nie zapłacę za szybujące rachunki za energię. Ideologia nie sprawi, że z dnia na dzień zakupię drogie elektryczne auto itd. Dlatego jest ważne, by zacząć mówić o przeciwdziałaniu zmianom klimatu językiem korzyści. Potrzebujemy, mówiąc krótko, zielonej ekonomii, która będzie wiązała się z realnymi korzyściami dla mieszkanek i mieszkańców naszych miast. Krótko: mniej języka ideologii, więcej języka korzyści.

I druga sprawa: zielona zmiana nie może oznaczać tylko wyrzeczeń, musi znaczyć również zysk. Dziś mamy sytuację, że zielona agenda została sprowadzona do wyrzeczeń. I to w prymitywnym wydaniu. Prawica sprowadziła zielony ład do budzenia wśród ludzi przekonania, że zła Unia Europejska zakaże nam jedzenia mięsa i zmusi do jedzenia robaków. Albo: widzieliśmy ostatnio mocujących się mężczyzn z nakrętką na butelkę, co miało być przejawem zamachu na naszą wolność, bo on chce nakrętkę autonomiczną, a nie przyczepioną do butelki.

Być może więc, by zielona agenda przestała być postrzegana przez pryzmat wyrzeczeń, należy o niej myśleć w perspektywie, którą nazywam ekologicznym hedonizmem. Ta perspektywa chce mówić o zyskach, jakie niesie ze sobą zielona polityka. I dla natury, i dla człowieka. To bowiem, co jest dobre dla natury, musi być również dobre dla człowieka. Potrzebujemy więc w miastach takich zielonych rozwiązań – urbanistycznych, gospodarczych, infrastrukturalnych – które podnosząc jakość życia, dają mieszkańcom zyski, podnoszą komfort życia. Krótko: trzeba odejść od zasady: albo natura, albo człowiek i przyjąć regułę: i natura, i człowiek. Miejscem, które w sposób nieprzerwany może stosować utopijny pragmatyzm i ekologiczny hedonizm są nasze miasta. Miasta, bez których zaangażowania trudno będzie nam przeprowadzić skuteczną zieloną zmianę. ●



JAROSŁAW MAKOWSKI
Wiceprezydent Katowic

L!

„Bariery dla liberalizmu" Piotra Beniuszysa w Bibliotece Liberté!

Spoiwem dla 27 esejów zawartych w książce jest naświetlenie współczesnych realiów percepcji liberalizmu w jego zderzaniu się z różnorakimi myślowymi czy mentalnościowymi barierami, często głęboko zakodowanymi w człowieku, które utrudniają – od zawsze lub we wzmożony sposób ostatnio – umacnianie liberalnych postaw i odnoszenie przez ideę kolejnych sukcesów w politycznych starciach z konkurencyjnymi sposobami myślenia.

Kluczem do przezwyciężenia kryzysu liberalizmu może się okazać nie zmiana idei liberalnej na chwilowo bardziej modną, lecz zmiana mentalności ludzi, wraz z przetaczaniem się jednych kryzysów, pojawianiem innych, zmianami pokoleniowymi. Wydaje się, że liberałowie potrzebują odwagi. Po to, aby z większą determinacją bronić własnych wartości przed nacjonalistami, socjalistami, klerykałami i populistami. Ale potrzebują także odzyskać zdolność wle- wania w serca ludzi otuchy, odwagi i optymizmu. Zebrane w tej książce teksty mogą pomóc tej odwagi poszukiwać.



POMÓWMY O GDAŃSKU

PIOTR BENIUSZYS

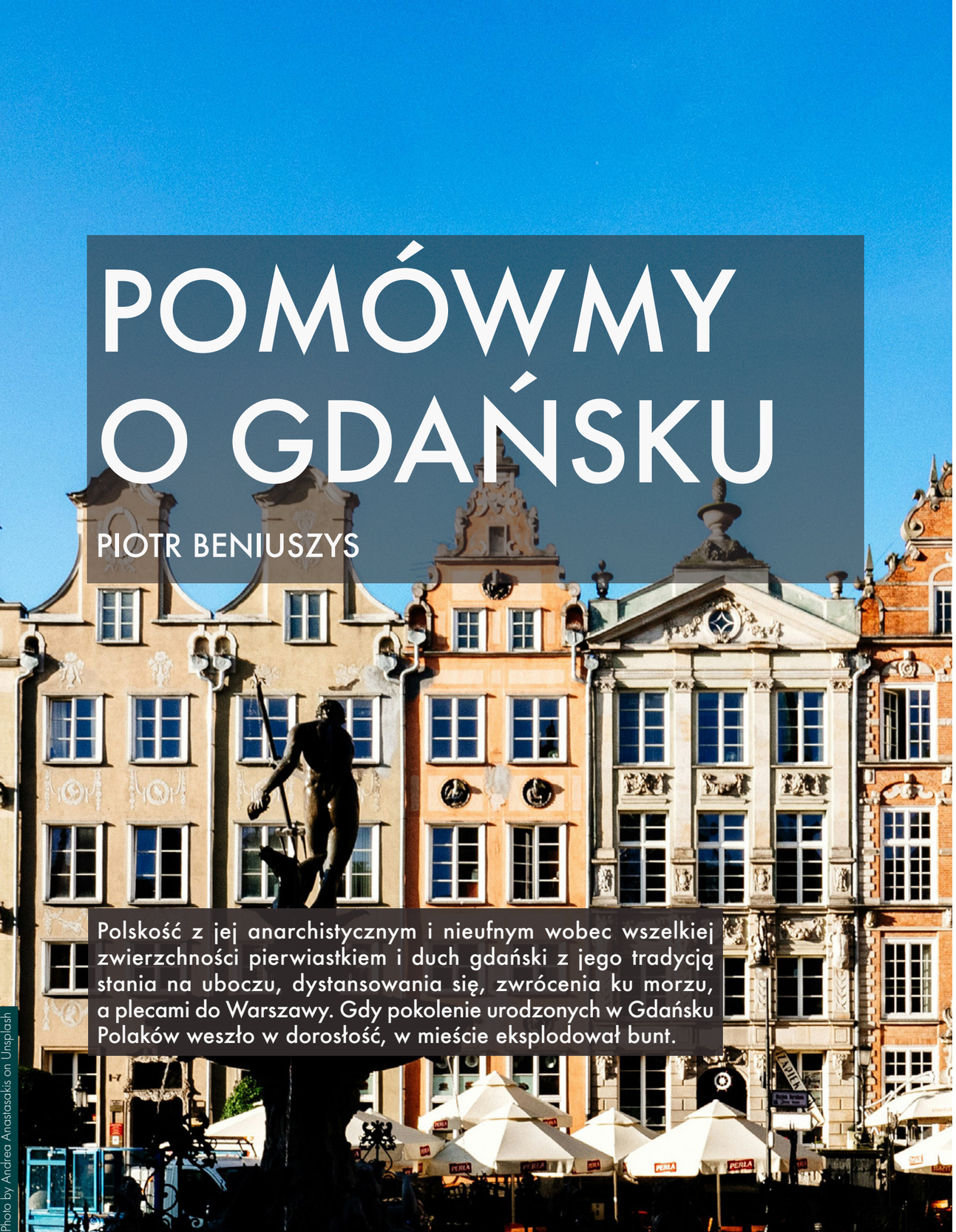


Photo by Andrea Anastasakis on Unsplash

Polskość z jej anarchistycznym i nieufnym wobec wszelkiej zwierzchności pierwiastkiem i duch gdański z jego tradycją stania na uboczu, dystansowania się, zwrócenia ku morzu, a plecami do Warszawy. Gdy pokolenie urodzonych w Gdańsku Polaków weszło w dorosłość, w mieście eksplodował bunt.

Gdańsk to wyjątkowo istotne miejsce na liberalnej mapie świata. Spojrzenie wstecz na nie tylko ostatnie sto lat jego historii przynosi pasjonującą opowieść o zmaganiach ludzi o wolność, o klęskach i o świetlistych momentach tej walki. Miasto portowe, zlokalizowane nad żeglowną rzeką, naturalnie predystynowane do zbudowania ekonomicznej potęgi tym opiewanym przez wczesnych liberałów narzędziem, jakim był wolny handel międzynarodowy. Otwarte na świat i realizujące swój mały projekt europejskiej integracji już w czasach, w których mało kto o czymś takim myślał; naznaczone przeto licznymi różnymi kulturowymi wpływami, nie tylko tymi geograficznie oczywistymi, jak polskie, niemieckie, żydowskie czy ruskie, ale także m.in. holenderskimi, skandynawskimi, francuskimi i szkockimi. Zawsze poszukujące drogi osobnej, nieco niezależnej, czy to od polskiego króla czy od władców pruskich. Dwukrotnie obwołane więc „wolnym miastem", bo nie tylko wskutek traktatu wersalskiego w 1919 r., ale już, na krótko, w roku 1807 r., wskutek wojen napoleońskich i według postanowień traktatu tylżyckiego. Ale także miasto, które źle zniosło wejście Europy w epokę nacjonalizmów, zduszone w swoim rozwoju przez swojskie i raczej zapyziałe oblicze wschodniopruskiego nacjonalizmu drugiej połowy XIX w., skazało się na prowincjonalizm, nie budując długo żadnej własnej uczelni wyższej, nie wpuszczając w swój krwiobieg ożywczych impulsów życia akademickiego i rozwiniętego życia intelektualnego.

Gdy więc w 1920 r. Gdańsk zostaje ponownie „wolnym miastem", otrzymując potencjalnie szansę zbudowania wolnościowego ładu polityczne-

Do zduszenia wolności totalitarne reżimy zastosowały cały arsenał śmiercionośnej broni, a ich triumf był przejściowy. Wolność pobiła je w Gdańsku siłą oddziaływania w starciu wyłącznie moralnym, a jej triumf wydaje się nam dzisiaj ostateczny

go w skali państwa-miasta, czyli w modelu europejskiej historii nieobcym, pada to na całkowicie niepodatny grunt. W całej swojej historii Gdańsk nie był chyba bardziej wrogi wolności niż wtedy. Miasto było niemieckie, ale problem był nie tyle etniczny, co mentalnościowy, ponieważ było ono niemieckie szowinistycznie i rewanżystowsko. Dawno umarła dawna gdańska otwartość na świat. Gdańscy Niemcy chcieli do Rzeszy, ale nie sympatyzowali z Republiką Weimarską, jej konstytucją, prawami, wolnościami i duchem. Prowincjonalizm zbierał fatalne żniwo, gdy dekadę później

naziści z łatwością przechwycili kontrolę polityczną nad „wolnym" już tylko z nazwy miastem.

Tak więc stał się Gdańsk jednym z naczelnych zarzewi II wojny światowej. Dzień 1 września 1939 i ostrzał polskich pozycji na Westerplatte otworzyły klamrę jednego z najważniejszych (najważniejszego?) bojów o wolność, jakie ludzkość stoczyła. I Gdańsk tę klamrę miał także zamknąć nieco ponad 40, a ostatecznie 50 lat później, gdy zrodzony w mieście ruch „Solidarności" Lecha Wałęsy doprowadził do faktycznego końca tej wojny (traktaty pokojowe 1945 były głównie na papierze i stanowiły przejście wojny z jednego w drugi etap). Co rozpoczęło się najczarniejszym koszmarem, konfliktem, który przyniósł ocean zbrodni z Holokaustem na czele, skończyło się w Gdańsku triumfem idei wolności ludzkiej w całkowicie bezkrwawym starciu z reżimem niewoli i terroru. Do zduszenia wolności totalitarne reżimy zastosowały cały arsenał śmiercionośnej broni, a ich triumf był przejściowy. Wolność pobiła je w Gdańsku siłą oddziaływania w starciu wyłącznie moralnym, a jej triumf wydaje się nam dzisiaj ostateczny.

Rok 1945 przyniósł tylko pozorny pokój, który szybko zresztą nazwano „zimną wojną". Dla Gdańska była to jednak kluczowa cezura. Miasto musieli opuścić jego niemieccy mieszkańcy, płacący cenę utraty domu za zbrodnie swojego politycznego przywództwa, najczęściej uzasadnioną, zważywszy polityczne dzieje miasta przed 1939 r. Do miasta sprowadziły się tysiące



Photo by Robert Kozakiewicz on Unsplash

Polek i Polaków z różnych miejsc, najczęściej z utraconego teraz na rzecz ZSRR dawnego wschodu II Rzeczpospolitej. Wielu z nich znało Gdańsk wcześniej tylko ze słyszenia. Byli ludźmi pozbawionymi swoich korzeni, wyobcowanymi, w pewnym sensie pionierami zasiedlającymi „dziki Zachód", miejsce wyludnione, w ogromnej części zniszczone. Dylemat, czy w ogóle odbudowywać dawne – obce zarówno polskiemu, jak i tym bardziej „robotniczo-chłopskiemu" duchowi – centrum miasta, przez kilka lat pozostawał bez jasnej odpowiedzi. Wielu widziało nowe centrum, o czysto socjalistycznym i robotniczym charakterze, bez mieszczańsko-burżuazyjnych „naleciałości", w okolicach dzisiejszego Nowego Portu. Miały być bloki i fabryki, nie kamienice i kafejki.

Pod warstwą oficjalną, wszechobecną w PRL i obowiązkową strukturą aparatczyków, powstawały jednak nowe więzi i sieci społeczne z udziałem tych nowych, pochodzących „z czterech stron świata" gdańszczan. Rodziło się nowe pokolenie, już miejscowe, nieznające świata innego niż polski Gdańsk. Mijały lata i miasto dawało się oswoić, stawało się polskie, portowe, robotnicze, ale i posiadające lepszą infrastrukturę intelektualną, politechnikę, akademię medyczną, szkołę pedagogiczną, która w końcu stała się uniwersytetem. Teraz zlały się w nim dwa żywioły. Polskość z jej anarchistycznym i nieufnym wobec wszelkiej zwierzchności pierwiastkiem i duch gdański z jego tradycją stania na uboczu, dystansowania się, zwrócenia ku morzu, a plecami do Warszawy. Gdy pokolenie urodzonych w Gdańsku Polaków weszło w dorosłość, w mieście eksplodował bunt.

Człowiek wyrwany ze swojego otoczenia traci orientację w sensie miejsca w nieformalnej hierarchii społecznej, wyzbywa się autorytetów, jego gotowość dawać posłuch dygnitarzom ulega drastycznej redukcji. To oczywiście ma swoje negatywne skutki, gdy prowadzi do społecznej anomii, za którą może kroczyć degeneracja całych społeczności

W grudniu 1970 r. było jeszcze za wcześnie, aby rewolta przeciwko władzy komunistycznej uniosła treść aksjologiczną w postaci żądania wolności. Impulsem było podniesienie urzędowych cen krótko przed świętami Bożego Narodzenia przez centralnych planistów z PZPR. Ale czy godnie zastawiony stół, chociaż ten jeden raz w roku, nie był dla ówcześnie żyjących chociaż jakąś namacalną namiastką wolności? Ceny podniesiono w całym kraju, ale zbuntowały się miasta portowe. To w nich tolerancja dla bezczelności władzy okazała się najmniejsza.

Człowiek wyrwany ze swojego otoczenia traci orientację w sensie miejsca w nieformalnej hierarchii społecznej, wyzbywa się autorytetów, jego gotowość dawać posłuch dygnitarzom ulega drastycznej redukcji. To oczywiście ma swoje negatywne skutki, gdy prowadzi do społecznej anomii, za którą może kroczyć degeneracja całych społeczności. Lecz w tym konkretnym przypadku relacji Gdańska z komunistyczną władzą skutek okazał się inny. Pośród mieszkańców miasta zadzierzgnęła się wspólnota, której jednym ze spoiw był antagonizm wobec „ludowej" władzy, powróciło polskie „my i oni", znane z poprzednich epok. Wielką rolę odegrała tutaj synergia wielkomiejskiej inteligencji i środowiska robotniczego stoczni, która – jakże nietypowo dla tego rodzaju wielkich zakładów przemysłowych – była w Gdańsku (jeszcze mocą rozpędu decyzji cesarza Wilhelma) zlokalizowana w gruncie rzeczy w centrum miasta. Ta bliskość generowała specyficzną dynamikę, w której racjonalne podłoże protestu i jego naga siła z łatwością spajały się w jeden strumień.

W roku 1970 Gdańsk i Gdynia zostały przez komunistów skrzywdzone, bunt stłumiono brutalnie, zabito ludzi, wielu pobito, torturowano, zastraszano, przesłuchiwano. Ale czyniąc wszystko to, PZPR już wówczas podpisała na siebie wyrok śmierci, który wykonała samodzielnie, wyprowadzając na znak Mieczysława Rakowskiego czerwony sztandar z sali na zjeździe 20 lat później. Partia „robotnicza" zaszczepiła wtedy mieszkańcom miasta wściekłość, nienawiść wobec siebie samej oraz determinację, aby walczyć do zwycięstwa.

Demokracja liberalna w Polsce zatriumfowała nie dlatego, że ktoś zastrzelił Kiszczaka i powiesił Jaruzelskiego, a dlatego że obaj oni dostrzegli, że ponieśli totalną klęskę na polu idei w starciu z ideą wolności i rzucili ręcznik na ring w okolicach gongu rozpoczynającego pierwszą rundę, oddając państwo drugiej stronie



Photo by Mateusz Mazurek on Unsplash

Powstało miasto zbuntowane, gotowe walczyć już nie tylko o niższe ceny i lepsze warunki w peerelowskich zakładach pracy, ale o wolność człowieka i suwerenność narodową. PRL na dłuższą metę nie mogła odtąd istnieć z Gdańskiem w swoich granicach. Mogła tylko ostatecznie miasto zniszczyć, albo sama przestać istnieć.

W 1980 r. zaczął się więc w Stoczni Gdańskiej koniec PRL-u, koniec komunizmu, koniec socjalizmu realnego, koniec ZSRR i koniec „zimnej wojny", tego drugiego etapu II wojny światowej, w której siły zniewolenia rzuciły wyzwanie idei wolności i przegrały. „Solidarność" Lecha Wałęsy jednym z pierwszych swoich żądań uczyniła upamiętnienie ofiar Grudnia '70. Pomnik złożony z trzech krzyży znalazł się na centralnym placu miasta na prawie dekadę przed pogrzebaniem PRL i stanowił odtąd najbardziej czytelną opinię mieszkańców na temat władzy.

„Solidarność" była ruchem pluralistycznym, jak pluralistyczny był Gdańsk i cała Polska, której 10 milionów obywateli miało wkrótce przyłączyć się do tej gdańskiej idei. Miała wymiar konserwatywny, mocno opierając się na fundamencie wiary w Boga i marzeniu o narodowym wyzwoleniu Polski. Miała wymiar socjaldemokratyczny, będąc w końcu ruchem robotniczego protestu przeciwko (rzekomo) „robotniczej władzy", kompromitując idee komunistyczne na cały świat i domagając się lepszego traktowania rzeczywistych robotników, a nie tylko partyjnych kacyków. Ale miała także przepotężny

wymiar liberalny, ten najtrudniejszy do artykulacji w 1980 r., bo oznaczający żądania przywrócenia wolności obywatelskich, praw człowieka, demokratycznych wyborów, wolności słowa i zgromadzeń, wolnych mediów, zbliżenia z Zachodem oraz gospodarki wolnorynkowej. Słowem: odsunięcia PZPR na zawsze od władzy, pogrzebania komunizmu i wyjścia z bloku wschodniego.

W końcu, i bodaj przede wszystkim, „Solidarność" była ruchem walki wyłącznie pokojowej, bez rozlewu krwi. Obierając tą drogę może i ryzykowała porażkę, ale jej zwycięstwo stanęło dzięki temu na mocniejszych fundamentach moralnych. Demokracja liberalna w Polsce zatriumfowała nie dlatego, że ktoś zastrzelił Kiszczaka i powiesił Jaruzelskiego, a dlatego że obaj oni dostrzegli, że ponieśli totalną klęskę na polu idei w starciu z ideą wolności i rzucili ręcznik na ring w okolicach gongu rozpoczynającego pierwszą rundę, oddając państwo drugiej stronie.

W latach 1989-91 blok sowiecki rozsypał się jak domek z kart. Fukuyama napisał wtedy, że to koniec historii. Tak dobrze nie było, był to raczej początek najpiękniejszej dekady w dziejach, lat 90-tych XX w. Po nich nauczyliśmy się, przeżywając jeden kryzys za drugim, że o wolność walczyć trzeba nie tylko wtedy, gdy się jej nie ma, ale także, gdy się ją ma. Trzeba ją pielęgnować i walczyć o jej utrzymanie, już gdy tylko na horyzoncie majaczą się nowe ryzyka.

W latach 2015-23 Gdańsk wrócił do statusu miasta zbuntowanego. Zachowując wszelkie proporcje i nie popadając w karkołomne analogie historyczne, w Polsce przy wolności, państwie prawa i demokracji znów pojawiły się znaki zapytania. Region pomorski okazał się najmniej podatny w skali całego kraju na propagandę nowej partii władzy, PiS, która osiągała tutaj tradycyjnie najniższe wyniki wyborcze. Zdesperowani autokraci postanowili Gdańskowi zaszkodzić. Zlikwidowano Lotos, jednego z największych płatników podatków do kasy regionu. PiS wolał już, aby tą rafinerią zawiadywali Arabowie Saudyjscy niż gdańszczanie. Rząd chciał także zagłodzić Europejskie Centrum Solidarności, szczególnie ważny

Zdesperowani autokraci postanowili Gdańskowi zaszkodzić. Zlikwidowano Lotos, jednego z największych płatników podatków do kasy regionu. PiS wolał już, aby tą rafinerią zawiadywali Arabowie Saudyjscy niż gdańszczanie

punkt na mapie politycznej i kulturalnej Gdańska, który – niczym sól w oku – opowiadał prawdziwe dzieje 1980 i 1989 r. i przez lata istnienia pisowskiej władzy stał się „Mekką" opozycyjnie zorientowanych Polaków. Oni, przyjeżdżając już do Gdańska, mówili, że tutaj jest inna atmosfera, że tu jakoś mniej się czuje, że Polską rządzi PiS. Zagłodzić ECS się nie udało – wspierani przez Polaków z całego kraju, gdańszczanie zabrali kwotę wyższą od zablokowanej dotacji ministerialnej poprzez zbiórkę internetową.

Wszystko to Gdańsk mógłby PiS-owi może wybaczyć. Polityka to ostry „biznes", w którym dla ideowych przeciwników mało kto zna litość. Zresztą w aferach wokół Lotosu i finansowania ECS chodziło głównie o pieniądze. A pieniądze Gdańsk akurat ma, bo – tradycyjnie – zarabia je pracą i kreatywnością jego mieszkańców. Tak było w epoce sprzedaży spławianego tutaj Wisłą zboża kilkaset lat temu, tak jest i dziś, gdy kwitną branże IT, chemiczna, turystyczna, offshore i parę innych.

Gdańsk jednak został w ciągu tych minionych ośmiu lat skrzywdzony inaczej, boleśnie i o wiele poważniej, gdy naszpikowany nienawistną propagandą pisowskiej telewizji szaleniec zamordował prezydenta tego miasta, Pawła Adamowicza. Prezydenta, wybieranego na najwyższy urząd miejski przez dwie dekady, człowieka światłego, mądrego, serdecznego i dobrego. Gdy potem prezes partii władzy spóźnił się ostentacyjnie na „minutę ciszy" w Sejmie ku czci prezydenta Adamowicza, w Gdańsku nikt już nie miał złudzeń.

Polska PiS na dłuższą metę nie mogła odtąd istnieć z Gdańskiem w swoich granicach. Mogła tylko ostatecznie miasto zniszczyć, albo sama przestać istnieć. Resztę sami wiecie.

Zakończmy więc ostrzeżeniem dla wszystkich wrogów wolności, planujących przywracać zniewolenie w tej czy innej formie w Polsce lub szerzej, w Europie środkowo-wschodniej: nie zadzierajcie z Gdańskiem. To się dla was bardzo źle skończy. ●



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!", pisał także na łamach „Gazety Wyborczej", tygodnika „Polityka", „Dziennika Gazety Prawnej" oraz dla Instytutu Obywatelskiego. Autor książki „Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów" (Biblioteka Liberte, 2022). Twitter: @piotr_beniuszys



NIEZNOŚNA LEKKOŚĆ BYTU URZĘDNIKA

BARTŁOMIEJ AUSTEN

W urzędzie na starcie teoria wygrywa z praktyką. Dlatego też bardzo rzadko urzędnik samorządowy to były przedsiębiorca. Były pracodawca. Te historie w Polsce samorządowej są ekstremalnie rzadkie. Może też dlatego w urzędzie tak słabo potrafimy liczyć pieniądze. Może dlatego tak beztrosko je tam wydajemy.

Photo by Agata Samulska on Unsplash

Jak zostałem urzędnikiem

W ostatnich wyborach samorządowych w Gdyni nastąpiły istotne zmiany. Rządzący nieprzerwanie od 1998 roku Prezydent Wojciech Szczurek nie wszedł nawet do drugiej tury. W tej drugiej turze zdecydowanie zwyciężyła Aleksandra Kosiorek, kandydująca z niezależnego komitetu Gdyńskiego Dialogu. Pokonała kandydata Koalicji Obywatelskiej i pozostałych ruchów miejskich Tadeusza Szemiota i została nowym prezydentem Gdyni. Samorządność również poległa z kretesem w wyborach do Rady Miasta, gdzie udało się jej wprowadzić jedynie 5 kandydatów na 28 możliwych do obsadzenia miejsc. Ja sam zostałem radnym z najlepszym wynikiem z całej listy Gdyńskiego Dialogu po Pani Prezydent. Po wyborach jednak zrezygnowałem z bycia radnym, gdyż dostałem od Oli propozycję zostania jej zastępcą. Wiceprezydentem ds. inwestycji i gospodarki. Długo się zastanawiałem. Lista argumentów za liczyła kilkanaście pozycji. Lista na nie też kilkanaście. Ostatecznie jednak postanowiłem porzucić całkowicie moje dotychczasowe życie. Firmę, którą budowałem 9 lat. Gen społecznika wygrał z racjonalnymi argumentami. Przyjąłem propozycję. Zrezygnowałem z diety radnego, którą mogłem łączyć z moją podstawową działalnością. Zostałem urzędnikiem.

Urzędnik zarabia marnie, ale urzędnik eksprzedsiębiorca zarabia jeszcze gorzej

Przyjmując tą propozycję, zdawałem sobie sprawę, że finansowo zdecydowanie na tym stracę. Tak gdzieś z 2,3 raza. Podstawowa pensja każdego urzędnika jest w Polsce marna. Dlatego ważne są dodatki do tej pensji. Jednym z nich jest dodatek za staż pracy. Nie spodziewałem się jednak, że w 2024 roku, czyli 35 lat po transformacji ona nadal nie dotyczy tego, że jak jesteś przedsiębiorcą, to dla liczenia stażu równie dobrze mógłbyś być bezrobotnym. Tak – dobrze słyszycie. Staż przedsiębiorcy się nie liczy w stażu pracy urzędnika. Dodatek stażowy w takim przypadku wynosi zero. Nasza Pani Prezydent, która 14 lat temu, od razu po studiach, założyła swoją kancelarię, też z tych 14 lat ma staż równy zero. Sytuacja więc wygląda w samorządzie tak, że premiuje się na stanowiskach związanych z gospodarką teoretyków, ludzi pracujących na uczelniach. To z nich czerpiemy zasoby kadrowe. Oni mają staż, który urząd liczy. Tych, którzy realnie obracali swoimi milionami złotych, ignorujemy. Tych, którzy ryzykowali swoim majątkiem, majątkiem swoich bliskich, trzymamy z dala od urzędów. Praktyków nie potrzebujemy. W urzędzie na starcie teoria wygrywa z praktyką. Dlatego też bardzo rzadko urzędnik samorządowy to były przedsiębiorca. Były pracodawca. Te historie w Polsce samorządowej są ekstremalnie rzadkie. Może też dlatego w urzędzie tak słabo potrafimy liczyć pieniądze. Może dlatego tak beztrosko je tam wydajemy. Bardziej tu liczy się nie to, czy ten wydatek ma sens. Istotniejsze jest, by ten wydatek był wydany zgodnie z literą prawa. Wtedy wszystko inne schodzi na plan dalszy. Ciężko się temu dziwić, gdyż urzędnicy, którzy o tym decydują, nie mają w tym praktyki. Nie potrafią w to grać, bo skąd mieliby, skoro

nikt nie dał im szans się tego nauczyć. Zbyt mało wiem, by być niekompetentnym.

Publiczne większe niż prywatne

Po stronie przychodów i wydatków miasta mają kwoty przyprawiające nawet mnie, mającego w tym wprawę pewnie na poziomie blisko miliarda, o szybsze tętno. W przypadku mojej trochę ponad dwustutysięcznej Gdyni wydatki oraz oczywiście przychody roczne to są kwoty przekraczające grubo 2 miliardy złotych. Przelewy jednorazowe o wysokości ponad miliona złotych podpisuję codziennie. Zarządzamy ponad dwoma tysiącami urzędników. Ja sam, mając pod sobą Zarząd Dróg i Zieleni, Wydział Inwestycji, Wydział Ogrodnika, Pomorski Park Naukowo-Technologiczny, Urząd Pracy i pomniejsze kadrowo instytucje, mam ponad 800 pracowników. Skoro więc jest to tak duże przedsiębiorstwo, a co najważniejsze, skomplikowane przedsiębiorstwo, bo mające za cel nie osiągnięcie zysku, czego uczą nas na studiach, a dużo trudniejsze parametry społeczne, jak na przykład redystrybucja pewnych dóbr, to chyba oczywiste jest, że potrzebna jest wykwalikowana kadra zarządcza. Tymczasem siatka płacowa urzędu sprawia, że drogi projektuje w mieście ktoś, kto zarabiałby na wolnym rynku 2 razy więcej niż w urzędzie. 20-25 tysięcy złotych to pensja brutto oczywista w tej branży. Sprawdza go księgowa, która w realiach prywatnych zarabiałaby 2 razy więcej. Obsługuje te inwestycje pod kątem prawniczym prawnik, który ma przeciwko sobie prawników korporacyjnych olbrzymich konsorcjów budowlanych, z którymi nie ma szans. Dlatego w realiach miasta, gdzie jest trudność z pozyskiwaniem pracowników za połowę stawki często jedynym rozwiązaniem jest ucieczka miasta w sektor prywatny. Gmina zaczyna tworzyć spółki i prywatyzować publiczne. Tylko w miejskiej spółce może pozyskiwać wykwalifikowanych urzędników na rynkowych zasadach. Jak tego nie zrobi, brnie w przypadku wiceprezydentów i kluczowych naczelników w dorabianie ich w spółkach gminnych, w trzynastki, w czternastki, w zdalną pracę, itp.

W realiach miasta, gdzie jest trudność z pozyskiwaniem pracowników za połowę stawki często jedynym rozwiązaniem jest ucieczka miasta w sektor prywatny. Gmina zaczyna tworzyć spółki i prywatyzować publiczne



Photo by Kasia Derenda on Unsplash

Chcesz mieć zwrot VAT, prywatyzuj usługi publiczne

Co ciekawe, mocnym argumentem za taką ucieczką w prywatne z publicznego jest nasz nieszczęsny system podatkowy. Przy inwestycjach miasto ma ograniczone możliwości odzyskiwania VAT-u. Tymczasem przekształcenie miejskiego wydziału inwestycji w spółkę Miejskie Inwestycje Spółka Akcyjna sprawia, że problem znika. Możesz w skali roku oszczędzić na 23-procentowym Vacie dziesiątki milionów złotych. Często też spółki mają dużo większe możliwości pozyskiwania unijnych dotacji, pożyczek niż miasto. Nie muszą aż tak restrykcyjnie przestrzegać procedur przetargowych. To są plusy, jednak są też oczywiste minusy tego rozwiązania. Spółka bowiem musi działać zgodnie z kodeksem spółek handlowych, a to oznacza, że musi wypracowywać zysk dla udziałowców. Nawet jeśli to oznacza zysk dla udziałowca, którym jest miasto. To się jawnie kłóci z interesem publicznym. Sprawia, że taka spółka, na przykład wodociągowa, może zacząć przestać inwentaryzować swoje sieci. Może przestać w nie inwestować. Często jest przecież monopolistą, więc utrata rynku jej nie grozi. Dzięki takiemu ograniczeniu kosztów może na koniec roku pochwalić się zyskiem, a za zyskiem pójdą sowite nagrody dla kadry, która do takiej sytuacji doprowadziła. Co będzie za dziesięć lat, to już tej kadry może nie interesować. Liczy się tu i teraz. Często te spółki miejskie są na etapie wczesnego Balcerowicza. Są kapitalistami z lat 90., a mamy 2024 rok i świat się trochę zmienił. Często też w miastach jest przerabiany taki scenariusz, że początkowo spółka miejska świetnie współpracuje z miastem, ale z każdym rokiem ten związek się rozluźnia. Wreszcie praktycznie zanika i część usług publicznych zostaje bezpowrotnie sprywatyzowana. Dorobek pokoleń mieszkańców zostaje sprywatyzowany. Miasto, które chce przeprowadzić jakąś inwestycję drogową, nie wie, gdzie leży infrastruktura wodociągowa, gdzie leży jego infrastruktura ciepłownicza. Nie wie, w jakim jest stanie i co się wydarzy, gdy zdejmie asfalt.

Utarł się w Polsce mit, że polityka to jest w Warszawie. W samorządzie polityki jest mniej, bo to, czy ulica jest dziurawa, czy miasto jest posprzątane czy nie, to nie jest kwestia polityki, a dobrego (lub nie) zarządzania. Tymczasem to kit

Samorząd to też polityka

Utarł się w Polsce mit, że polityka to jest w Warszawie. W samorządzie polityki jest mniej, bo to, czy ulica jest dziurawa, czy miasto jest posprzątane czy nie, to nie jest kwestia polityki, a dobrego (lub nie) zarządzania. Tymczasem to kit. Na każdą z tych czynności potrzeba pieniędzy. Dziś żadne duże miasto nie jest samowystarczalne. Żadne nie jest w stanie się utrzymać bez subwencji. System został tak skonstruowany, że żadne nie jest w stanie inwestować bez unijnych pieniędzy. Dziś w dużej mierze to, czy dany samorządowiec będzie postrzegany jako sprawny menadżer, zależy od tego, czy ma dobre relacje z aktualną władzą. Szczególnie na poziomie urzędu marszałkowskiego, ale jak pokazały patologie Polskiego Ładu, dobre relacje muszą być też i wydeptane ścieżki w Warszawie, bo bez tego deficyt finansów gwarantowany. Niestety reforma ministra Domańskiego dalej komplikuje to, co było już bardzo skomplikowane. Nikt tego wzoru, na podstawie którego wyliczać się będzie niedługo subwencje, nie jest w stanie dziś na 100% odszyfrować. Skończyły się już bezpowrotnie czasy dla samorządów, że Twoja gmina będzie tak bogata, jak bogaci są Twoi mieszkańcy, Twoje firmy. To zostało przez wszystkie lata, od reformy ‘98 roku stopniowo zdemontowane, a ostatecznie zdemolowane za rządów PiS-u. Dziś zrobiono reformą Domańskiego dwa kroki z powrotem. Jeden do przodu. Półtorej w lewo i pół w prawo. Żadna skarbnik dziś, a mamy już październik, nie wie z pełną odpowiedzialnością, do czego to jej budżet doprowadzi w przyszłym roku.

A przecież posiadanie pieniędzy jest lepsze niż nędza, choćby z powodów czysto finansowych... ●



BARTŁOMIEJ AUSTEN
Wiceprezydent Gdyni

KIEDYŚ. ZAWSZE. NIGDY. TERAZ

MAGDALENA M. BARAN

„Tu zawsze tak było” – zdanie słyszane często, a równie często nieprawdziwe. Bo miasto może, a nawet musi być inne, nawet jeśli sprawy toczą się tu własnymi torami. Może stanąć frontem do mieszkańców i rysować szanse wspólnego rozwoju. Wspierać ukierunkowane na nich usługi, małych przedsiębiorców, zawody tradycyjne, pomysły, którymi ludzie z miastem chętnie się podzielą. Stanąć frontem do nowoczesności, gdy idzie o budowanie przyjaznej przestrzeni dla innowacji, także i tych, które po pracy pomagają poczuć się obywatelem miasta, a nie tylko mieszkańcem, niekoniecznie zainteresowanym czymkolwiek poza drogą z pracy do domu i z powrotem.

Photo by Ben Bouvier-Farrell on Unsplash

Obrazki jak z pocztówek

Wawel. Rynek. Brama Floriańska. Widok Kazimierza. Zestaw obowiązkowy na pocztówce do wysłania w świat. Pocztówce z przeszłości, której w dawnym kształcie już nie ma. Kwiaciarki na Rynku, ziarno w kubach, którym karmiliśmy gołębie, prawdziwe krakowskie dorożki, stukot obcasów na bruku, lody na ul. Starowiślnej, obwarzanki na rogu przy teatrze Bagatela, zabytki, które mieszkańcy miasta traktowali po prostu jak codzienność. Czas jakby wolniejszy, starszy, bez pośpiechu. Szewc i kaletnik za rogiem, gwar Starego Klepa-

Pytanie, jaka jest tożsamość tego miasta? Jakie jest jego dziś? Jakie zaprojektujemy mu jutro, w którym znajdziemy miejsce nie tylko dla tłumu turystów, ale przede wszystkim dla mieszkańców?

rza, obrazy na sprzedaż wiszące na zabytkowych przecież murach obronnych starego miasta. Muzyka Piwnicy pod Baranami, jazz u Muniaka albo w nieodżałowanym Klubie Kornet. Spacery po Błoniach, droga do szkoły po drugiej stronie ulicy, a później dalej, w ścisłym centrum miasta. Były cudowne kina Wanda, Uciecha, Sztuka, górka na Plantach, smok wawelski, kominy huty. Można tak wymieniać niemal w nieskończoność, by wymalować obrazek niegdysiejszego Krakowa. Tego, w którym chciało się żyć. Krakowa, który może i był tradycjonalistyczny (by nie rzec „konserwatywny”), a jednocześnie miał w sobie ducha psoty, intelektualnej odwagi, mimo zastygnięcia w czasie... pewnej zaczepności. Krakowa, gdzie również – bo nie tylko w Gdańsku – rodził się przecież i liberalizm, i różnej maści opozycyjne nurty rosły w siłę, wśród mistrzów i autorytetów znajdując wsparcie i siłę do rozwoju. Był Kraków, gdzie... było dokąd pójść, aby zasięgnąć języka; gdzie „pan wadził się z plebanem”, ale że „plebanem” był Józef Tischner, to i ów spór miał inny ciężar gatunkowy, a przede wszystkim intelektualną jakość. Obraz z przeszłości. Zostały odpryski, po części poukrywane w zakamarkach miasta, inne skomercjalizowane, kolejne jakby przyczajone w oczekiwaniu na rozwój wypadków, na koniec te rozkwitające na nowo. Pytanie, jaka jest tożsamość tego miasta? Jakie jest jego dziś? Jakie zaprojektujemy mu jutro, w którym znajdziemy miejsce nie tylko dla tłumu turystów, ale przede wszystkim dla mieszkańców?

Obrazek z dziś

W Krakowie nie było protestów obywateli, domagających się ograniczenia ruchu turystycznego w mieście czy przywrócenia centrów miast mieszkańcom, jak miało to miejsce choćby w Barcelonie.

Nie ma też – w Wenecji obowiązującego jednodniowych turystów – biletu wstępu do miasta, który być może (choć w pewnym stopniu) wspomógłby miejską kasę, borykającą się z problemami. A przecież nocne okna starego miasta często pozostają ciemne, jeśli nie panoszy się w nich kolejny hotelik lub apartamenty na wynajem. Z uliczek zniknęli zwykli ludzie, bo też wielu nie ma ochoty pakować się w hałaśliwy tłum. Trudno przejść ulicą Floriańską, bo zalewa ją masa turystów. Poznikały mniejsze sklepiki, księgarnia, modystka, za to pojawiły się zalane chińszczyzną pamiątkownie, kolejne restauracje, biznesy obsługujące turystyczny ruch. W ulubionej niegdyś kawiarni niegdysiejszą pomysłowość właścicieli zastąpiła lista kaw przypominająca menu z najpodlejszej sieciówki. Dobrze, że można jeszcze wpaść do Cafe Rio, „Zwisu", Pod Barany czy nawet do Noworola, gdzie wciąż pamiętam przy którym stoliku prowadziło się rozmowy z Czesławem Miłoszem. Szczęśliwie wróciła kawiarnia w Bunkrze Sztuki, której zniknięcia tak obawiali się stali, miejscy bywalcy. Szczęśliwie można pognać do Willi Decjusza, gdzie dzieje się kultura. Szczęśliwie znajduję miejsce, gdzie nie ryczy muzyka, gdzie da się po prostu usiąść i pomyśleć. Również o mieście. O trosce.

A jednak, wracając tu ze stałą regularnością, chodzę ulicami i nie poznaję miasta. I nie chodzi mi wcale o to, aby zatrzymało się ono w czasie. Przeciwnie, marzy mi się Kraków otwarty, Kraków pozostający w swej tożsamości, ale nie ten przypominający skansen, Kraków, który żyje nie dla turystów, ale dla mieszkańców. Tymczasem szewca szukam dłuższą chwilę, kaletnika jeszcze dłużej, a przecież wkraczamy w trend: „Naprawiać, nie wyrzucać". Zniknęło sporo drzew, za to panoszą się betonowe, mieszkalno-hotelowe plomby. Są miejsca – bliższe i dalsze od centrum – gdzie miasto po prostu straszy, niepokoi, dystansuje się od centrum, zabija życie, oddala się od własnej agory. A bez niej – niekoniecznie przecież jednej

Wracając tu ze stałą regularnością, chodzę ulicami i nie poznaję miasta. I nie chodzi mi wcale o to, aby zatrzymało się ono w czasie. Przeciwnie, marzy mi się Kraków otwarty, Kraków pozostający w swej tożsamości, ale nie ten przypominający skansen, Kraków, który żyje nie dla turystów, ale dla mieszkańców

– bez miejsc/a wspólnego, pozwalającego na identyfikację i powiedzenie „Jestem stąd" lub „Chcę być stąd", pozostaje miastem jednorazowym, odwiedzanym od czasu do czasu (bo wciąż tu pięknie), miastem przystankiem lub miastem, od którego chce się uciec. A chyba nie o to nam chodzi?

Żeby nie było, że tylko narzekam. Szczęśliwie, dzięki budżetom obywatelskim, pojawiły się parki kieszonkowe, ogrody społecznościowe, miejsca spotkań. Ludzie zaczęli działać z ludźmi. Działalność miejskich aktywistów albo i pojedynczych ludzi, którym wciąż/jeszcze zależy, przywraca życie, tworzy przestrzeń, w której udowadniają, że jednak można, że się da, że miasto może i powinno być inne. Miasto – choć pewnie niewystarczająco – uczy się też wyrażać własne zdanie, a nawet protestować przeciw absurdom, jakie stają mu na drodze. Dość przypomnieć niegdysiejsze referendum, dzięki któremu Kraków wyrzucił do kosza pomysł organizowania tu Igrzysk Olimpijskich, protesty przeciwko wycinkom drzew czy sposoby, w jakie aktywiści patrzą rządzącym na ręce. I ludziom właśnie, działającym obok wielkich inicjatyw, znanych krakowskich festiwa-



Photo by Martti Salmi on Unsplash

li, muzeów i galerii, zawdzięczamy to, że miasto trwa, że wychodzi naprzeciw zwykłym ludziom, którzy potrzebują przyjaznego miejsca do życia, pracy i odpoczynku.

Odkopywanie Krakowa

„Tu zawsze tak było" – zdanie słyszane często, a równie często nieprawdziwe. Bo miasto może, a nawet musi być inne, nawet jeśli sprawy toczą się tu własnymi torami. Może stanąć frontem do mieszkańców i rysować szanse wspólnego rozwoju. Wspierać ukierunkowane na nich usługi, małych przedsiębiorców, zawody tradycyjne, pomysły, którymi ludzie z miastem chętnie się podzielą. Stanąć frontem do nowoczesności, gdy idzie o budowanie przyjaznej przestrzeni dla innowacji, także i tych, które po pracy pomagają poczuć się obywatelem miasta, a nie tylko mieszkańcem, niekoniecznie zainteresowanym czymkolwiek poza drogą z pracy do domu i z powrotem.

Jaskółki zmiany to działania nowego prezydenta, Aleksandra Miszalskiego. „Dziedzictwo", jakie otrzymał po Jacku Majchrowskim, nie należy do najłatwiejszych, a i samo miasto łatwe nie jest. Szczęśliwie nikt z dzisiejszych „zetek", urodzonych za 22-letnich rządów poprzedniego prezydenta, nie myśli o sobie jako o „pokoleniu Majchrowskiego", a raczej z ulgą żegna tą – dość ponurą – postać. Pół roku nowego Prezydenta to jednak zbyt krótko by formułować pełną ocenę jego działań. Póki co widać w nich spokój i brak pochopności w podejmowaniu decyzji. Daje się jednak dostrzec kierunek, w jakim zdaje się on podążać. Sprzątanie po Majchrowskim – nie idzie bynajmniej o moment, gdy Aleksander Miszalski chwycił za mopa i symbolicznie zabrał się za porządki – to jedno, ale własny plan to już coś zupełnie innego. Wśród swoich najważniejszych osiągnięć Prezydent wskazuje wprowadzenie bezpłatnych żłobków, bezpłatną komunikację miejską dla dzieci szkół podstawowych, wprowadzenie bezpłatnego programu szczepień na meningokoki dla dzieci do 3. roku życia, pozyskanie 5 mln euro dofinansowania na rewitalizację dzielnicy Wesoła, przeprowadzenie audytu, skutkującego zapowiedzią zmian w strukturze urzędu. Zadłużenie wynoszące około 6,5 mld złotych to jednak spory problem. Miszalski mówi również o Krakowie jako o nowoczesnej metropolii, mieście europejskim,

Sprzątanie po Majchrowskim – nie idzie bynajmniej o moment, gdy Aleksander Miszalski chwycił za mopa i symbolicznie zabrał się za porządki – to jedno, ale własny plan to już coś zupełnie innego



Photo by Andrey Volk on Unsplash

która słucha i rozumie swoich mieszkańców. I to na pewno dobry pomysł.

Elementem tej nowoczesności jest też burzenie murów, kruszenie niedobrych przyzwyczajeń, prostowanie ścieżek czy wreszcie budowanie miasta w oparciu o dobre praktyki i standardy etyczne. Ważnym sygnałem jest tu pożegnanie z Maszą Potocką. Tej ostatniej trudno odmówić zasług dla krakowskiego MOCAK-u, jednak wyrok sądu dotyczący zarzucanego jej mobbingu oraz kolejne oskarżenia płynące od pracowników, mocno działają na wyobraźnię. Rozstanie z kontrowersyjną dyrektor liczy się Prezydentowi na plus. Pokazuje bowiem, jakiego Krakowa być nie może, jaki styl zarządzania i współpracy jest tu już nie do pomyślenia. To jeden krok, a jednocześnie dobry prognostyk, w którym na pierwszy plan wysuwają się wartości, szacunek, a także wymogi stawiane przez prawo.

Jakie jutro

Czy Kraków może być inny? Może. Tylko nie może być mono. Zmiana wizerunku miasta jest koniecznością, a nie tworem, który będzie można włożyć między bajki czy zatrzymać w annałach miejskich legend. Zmiana wizerunku nie oznacza odrzucenia tożsamości czy odżegnania się od historycznego dziedzictwa. Przeciwnie – Kraków może być otwarty zarówno siłą swoich wartości, twórców, festiwali, aktywistów, jak i każdego z obywateli, który powie, że „to moje miasto".

A może – wracając do przywołanego na początku Tischnera i jego filozofii spotkania – da się tu po prostu spotkać? Spotkać w dialogu, w otwartości, zatrzymać w tym legendarnym „starym czasie", zdiagnozować problemy, poszukać rozwiązań na „tu i teraz", ale również na każde wyobrażalne jutro. Może kolejnym – rozważnym i uważnym – turystą powinna być myśl, jaka może zawitać do Krakowa wraz z otwarciem miasta na szerszy, również ponad-polityczny dialog; myśl uchwytywana przez różne idee, jakie warto zaprosić do miasta. Kraków potrzebuje wielu pomysłów, innowacji, ale też potrzebuje agory. Wiec może spróbujmy mu ją dać. ●



MAGDALENA M. BARAN

Doktor filozofii, historyk idei, publicystka; adiunkt w Instytucie Socjologii Uniwersytetu KEN w Krakowie. Zajmuje się problematyką wojny, etyką wojny, międzynarodowym prawem dot. wojny i pokoju, odbudową społeczeństw postkonfliktowych, filozofią polityki, etyką rządu. Autorka książek „Znaczenia wojny. Pytając o wojnę sprawiedliwą" (Biblioteka Liberté! 2018), „Oblicza wojny (Arbitror 2019), „Był sobie kraj. Rozmowy o Polsce" (Biblioteka Liberté! 2021). Członkini rady programowej „Igrzysk Wolności". Redaktor prowadząca miesięcznik „Liberté!" Prowadzi podcast „Jest sobie kraj", w którym o Polsce rozmawia z rodzimymi intelektualistami. Pracuje nad książką poświęconą *ethics of government*, która ukaże się jesienią.

Stoimy na wspólnej scenie. Odnajdujemy kontekst, w którym razem zastanawiamy się „Co nas obchodzić mogłoby w tym kraju, gdzie przyjaciele z dala się obchodzą"? Bo jednak coś nas obchodzi, zajmuje, martwi. I patrząc na świat, będąc zanurzonymi w coraz bardziej niedogodnej, a nawet groźnej codzienności, nie rwiemy sobie włosów z głowy, ale szukamy. Przekopując się przez te ponad już trzydzieści lat polskiej wolności – pojmowanej zarówno jako wolność osobista, polityczna, jak i jako kategoria społeczna – szukamy klucza do własnej wspólnoty, ale też do naszej indywidualności.

(fragment książki)



Magdalena M. Baran w Bibliotece Liberté!

Urzeka mnie w tej książce, że jest próbą powrotu do tego, co najprostsze, ale dziś wyparte i utracone. Powrót do rozmowy, dialogu, niespiesznej wymiany myśli z dala od bezduszno-bezmyślnych „polemik", które dewastują nasz kraj – oto jedyna droga do ocalenia.

Piotr Augustyniak

W czasie, gdy na świecie dominuje monolog, rozmowa staje się bezcenna. Magdalena M. Baran w swojej książce przywraca rozmowie powagę i znaczenie.

Jarosław Makowski

L!

MIASTO ZARZĄDZI SIĘ SAMO - OPOWIEŚĆ O RUCHACH MIEJSKICH

KACPER KOŹLUK

Współrządzą w dzielnicach, organizują życie kulturalne miast i otwierają debaty społeczne sięgające pierwszych stron ogólnopolskich gazet. Ruchy miejskie okrzepły już w zbiorowej świadomości jako nowy rodzaj lokalnego kolektywu, którego wizerunek coraz częściej licuje równie dobrze z ortalionem, co z garniturem.

Photo by Glib Albovsky on Unsplash

Pierwsza historia to palące słońce ulic warszawskiego Śródmieścia w godzinach szczytu u schyłku lat 90. To wtedy sfrustrowani stanem infrastruktury dla jednośladów rowerzyści ruszyli tłumnie na ulice, blokując ruch samochodowy. Inicjatywa, nazwana „Warszawską Masą Krytyczną", nie miała osobowości prawnej, finansowania czy nawet logotypu, a była w stanie wywalczyć zmiany niemożliwe do osiągnięcia tradycyjnym zrzeszeniom, działającym już od połowy XIX w. Protest był tylko jedną z form aktywności, uzupełnianą poprzez wejście na drogę urzędową. Wysyłano pisma i zabierano głos na hucznych otwarciach kolejnych, pozbawionych rowerowej infrastruktury inwestycjach. Aktywiści nie przestali działać, kiedy po latach starań oddawano pierwsze ścieżki: brukowane, z ostrymi zakrętami, a nawet schodami. Szukali sprzymierzeńców wśród pieszych i osób wykluczonych komunikacyjnie, organizowali wyjazdy studyjne do lepiej dostosowanych miast i cierpliwie wyprowadzali swoją agendę na pierwsze strony gazet. Dopiero z czasem rowerzyści zostali uznani za cenny kapitał polityczny, a ich postulaty coraz powszechniej znajdowały się w programach wyborczych. Sukces Warszawskiej Masy Krytycznej tkwił w mnogości rozproszonych działań, które stopniowo zmieniały uważność opinii publicznej. Patrząc po liczbie dzisiejszych inwestycji, uwzględniających drogi dla rowerów, aż trudno uwierzyć, że słowa ówczesnego rzecznika ZDM Marka Wosia: „Warszawa to nie wieś, żeby po niej rowerem jeździć" padły zaledwie w 1998 roku.

Druga historia zaczyna się w Parku Zuccotti na nowojorskim Manhattanie we wrześniu 2011 roku. Przez 59 dni park był symbolem walki z systemem finansowym oraz domem dla niemal 200 protestujących zebranych pod szyldem akcji „Occupy Wall Street". Globalny kryzys finansowy odwrócił nie tylko światową koniunkturę, ale również sposób myślenia dobrze wykształconych ludzi, wchodzących w tym czasie w dorosłość z kredytami studenckimi. Powitała ich świadomość, że nigdy nie osiągną już sukcesu równego temu ich rodziców i wbiła ostatni gwóźdź do trumny amerykańskiego snu. To właśnie w tym czasie sprzeciw wobec dotychczasowych wartości splótł się z rosnącą świadomością o zmianach klimatu czy problemem atomizacji społecznej. Do mainstreamu weszły freeganizm, squating czy moda z lumpeksów – pierwotnie wynikające z prozaicznego problemu biedy i bezrobocia, szybko włączone w zbiór postaw prezentowanych z wyboru, a nie z konieczności. *Transnarodowa kultura rozczarowania*, jak opisała to zjawisko P. Mason, objawiła się protestami między innymi w Grecji w 2008 roku, Iranie w 2009 czy Wielkiej Brytanii w roku 2010 i dała początek specyficznemu typowi kolektywu. Nie było formalnej organizacji, liderzy występowali rotacyjnie lub kolegialnie, komunikacja bazowała na mediach społecznościowych, a grupy wyrastały wokół problemu i trwały najczęściej wyłącznie do jego rozwiązania. Tak wyrastały wczesne ruchy miejskie, z genezy których wyłania się kluczowa obserwacja. Mimo ich lokalnego charakteru, adresują postulaty o charakterze globalnym. Chcąc postawić lampę na osiedlu, nie chodzi im o to, żeby było jaśniej, tylko żeby każdy mieszkaniec miał dostęp do bezpiecznej drogi dla pieszych. A to jest zasadnicza różnica w myśleniu.

Formalizujące się ruchy miejskie coraz częściej decydują się na start w wyborach i walkę o władzę samorządową. Nie są przedstawicielami jednych, określonych poglądów, łata ruchu miejskiego może przykrywać różnorodne poglądy i sympatie polityczne

Trzecia historia rozgrywa się w niedzielne przedpołudnie przy biało-czerwonej urnie na sali gimnastycznej lokalnej szkoły podstawowej. Formalizujące się ruchy miejskie coraz częściej decydują się na start w wyborach i walkę o władzę samorządową. Nie są przedstawicielami jednych, określonych poglądów, łata ruchu miejskiego może przykrywać różnorodne poglądy i sympatie polityczne. Należy na nie patrzeć raczej jako nowy typ lokalnej partii politycznej, sprawnie działającej zarówno w administracji publicznej, jak i aktywizmie ulicznym. Przyglądając się wynikom wyborów z kilkunastu ostatnich lat, można także zauważyć, że w swojej opowieści, adresującej globalne problemy lokalnie, stają się one coraz bardziej wiarygodne. Niekiedy bardziej nawet niż partie od dekad trzymające *status quo* układu sił. Po wyborach w 2024 roku 15 kandydatów ogólnowarszawskiego stowarzyszenia „Miasto Jest Nasze" otrzymało mandaty radnych (w tym 3 miejskich), a na północy stolicy, stowarzyszenie „Razem dla Bielan" już od 2018 roku było drugą siłą polityczną w swojej dzielnicy.

Na przestrzeni kilkunastu lat wyłoniły się kolektywy na tyle wymykające się ramom dotychczasowych opisów i na tyle spójne wewnętrznie, że należy je jasno określić wspólnym mianem ruchów miejskich. Zajmując się uniwersalnymi i globalnymi problemami, adresują swoje rozwiązania lokalnie, a dużą część swojej metaforyki opierają na konflikcie przestrzennym, widocznym choćby w opisywanym sporze pieszych, rowerzystów i kierowców. Mogę pokusić się o optymistyczną dla społeczeństwa obywatelskiego diagnozę, że ruchy miejskie są środowiskiem dla ludzi, dla których sprawy lokalne nie są trampoliną do spraw krajowych i globalnych, lecz elementem życia odpowiedzialnego mieszkańca własnego Sąsiedztwa. ●

Tekst powstał we współpracy z kwartalnikiem "Młodzi o polityce", https://mlodziopolityce.pl/

Młodzi o Polityce

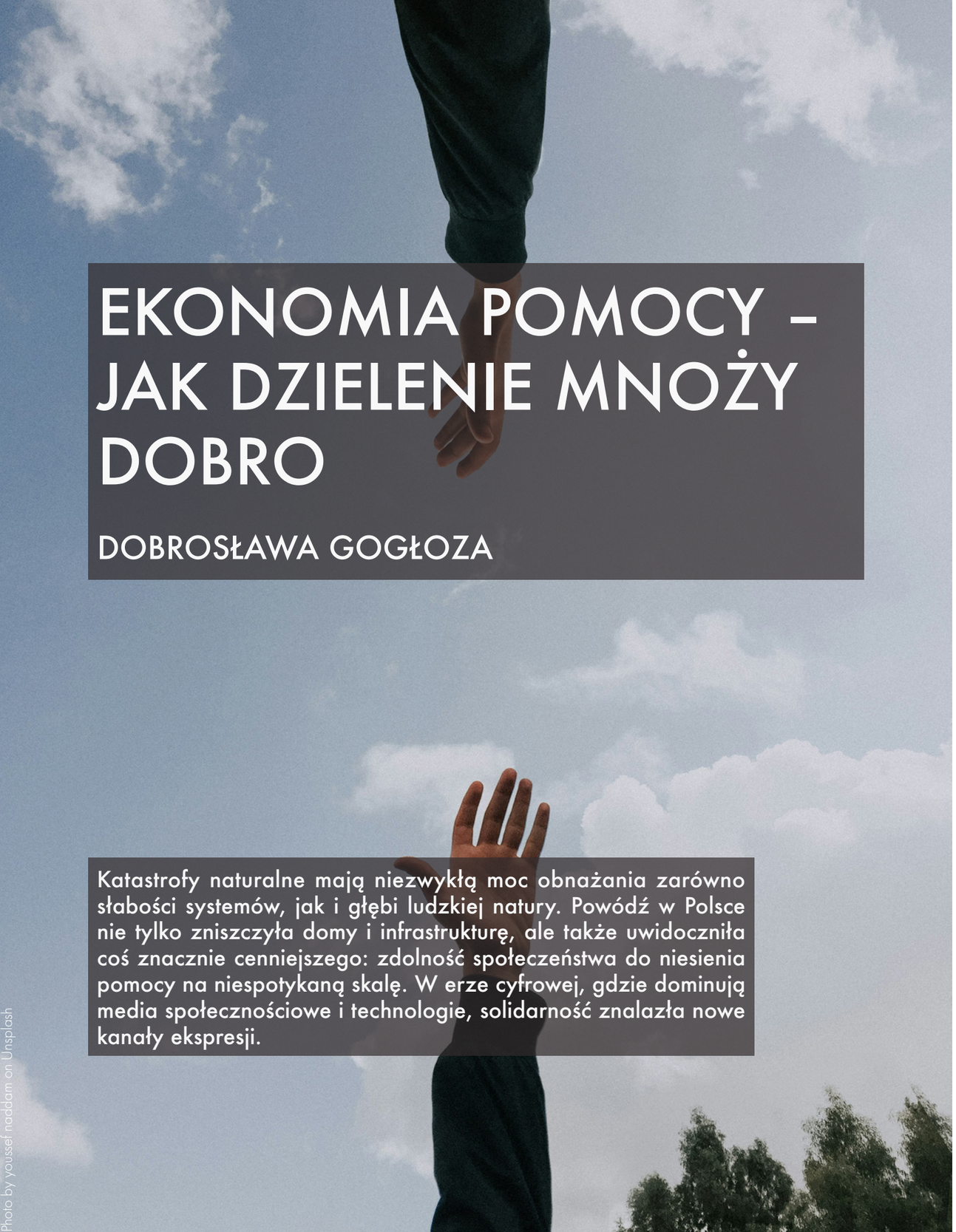


KACPER KOŹLUK

Student biotechnologii i dziennikarstwa na Uniwersytecie Warszawskim, neurobiolog, publicysta kwartalnika "Młodzi o Polityce", dziennikarz naukowy Akademickiego Radia "Kampus", członek zarządu Warszawskiego Stowarzyszenia Biotechnologicznego "Symbioza". Zainteresowany nowoczesnymi mediami w perspektywie poznawczej, prywatnie fotograf.

EKONOMIA POMOCY – JAK DZIELENIE MNOŻY DOBRO

DOBROSŁAWA GOGŁOZA



Katastrofy naturalne mają niezwykłą moc obnażania zarówno słabości systemów, jak i głębi ludzkiej natury. Powódź w Polsce nie tylko zniszczyła domy i infrastrukturę, ale także uwidoczniła coś znacznie cenniejszego: zdolność społeczeństwa do niesienia pomocy na niespotykaną skalę. W erze cyfrowej, gdzie dominują media społecznościowe i technologie, solidarność znalazła nowe kanały ekspresji.

Photo by youssef naddam on Unsplash

Skala mobilizacji darczyńców w Polsce w obliczu takich katastrof jak powódź jest tym bardziej godna uwagi, że w zeszłorocznym rankingu World Giving Index Polska znalazła się na ostatnim 142. miejscu wśród państw objętych badaniem. Raport ten jest tworzony na podstawie badań Instytutu Gallupa, ocenia gotowość do niesienia pomocy nieznajomemu, przekazywanie darowizn oraz wolontariat. O ile więc wszystko wskazuje na to, że codzienna gotowość Polaków do wspierania bliźnich swoim czasem i pieniędzmi jest bardzo niska (chociaż z całą pewnością wyobrażamy sobie, że jest inaczej), to po raz kolejny społeczeństwo wykazało niezwykłą zdolność do jednoczenia się i mobilizacji w sytuacjach prawdziwie kryzysowych – w ciągu kilku dni po tragedii Polacy zebrali miliony złotych na pomoc dla powodzian za pośrednictwem samych platform crowdfundingowych. Co znamienne, nie były to w większości formalne zbiórki organizowane przez duże instytucje charytatywne, ale oddolne inicjatywy zwykłych obywateli, którzy postanowili działać. Internet stał się mostem łączącym potrzebujących z darczyńcami, a bezpośredniość i personalizacja pomocy okazały się kluczowe w mobilizacji.

Trudne wydarzenia niewątpliwie zwiększają naszą empatię i chęć pomocy. Nawet wielkie kryzysy nie zmieniają jednak faktu, że nawet najbardziej potrzebujący często nie proszą o wsparcie. Zarówno rozmowy z użytkownikami platform crowdfundingowych, jak i treści zbiórek ujawniają głębokie poczucie wstydu przed proszeniem o wsparcie. W kulturze, która ceni samowystarczalność i niechęć do publicznego ujawniania problemów, zwrócenie się o pomoc bywa postrzegane jako przyznanie się do porażki.

Duma często nie pozwala na okazanie słabości. Ludzie wolą zaciągnąć kredyt, sprzedać mienie czy zadłużyć się u znajomych, zanim zdecydują się poprosić innych o wsparcie

Duma często nie pozwala na okazanie słabości. Ludzie wolą zaciągnąć kredyt, sprzedać mienie czy zadłużyć się u znajomych, zanim zdecydują się poprosić innych o wsparcie. Dopiero gdy wszystkie inne opcje zostaną wyczerpane, decydują się na wyjście do innych. To na poziomie emocjonalnym jest bardzo zrozumiałe, ale z drugiej strony wiele nierówności wynika z okoliczności, na które jednostki nie mają wpływu. To często kwestia zwykłego przypadku, że dom jednej osoby został zniszczony przez powódź, a ktoś inny miał szczęście uniknąć takiego losu. Co więcej, prosząc o pomoc, wykazujemy odwagę i aktywnie dążymy do rozwiązania naszych

problemów, biorąc sprawy w swoje ręce, zamiast biernie czekać na poprawę sytuacji.

Wracając jednak do mobilizacji przy pomaganiu w sytuacjach kryzysowych – i nie piszę tego, by krytykować pomagających, a raczej zainspirować więcej osób do dzielenia się i robienia tego częściej – warto pamiętać, że darczyńcy sami czerpią korzyści z aktu dawania. Liczne badania, przeprowadzone w różnych kręgach kulturowych, zgodnie wykazują, że wydawanie pieniędzy na innych przynosi większe poczucie szczęścia niż wydawanie ich na siebie. Co więcej, dotyczy to nawet osób, którym również na wiele rzeczy brakuje. Pomaganie innym wzmacnia więzi społeczne i daje poczucie wpływu na otaczającą nas rzeczywistość. W czasach, gdy wiele aspektów życia wydaje się poza naszą kontrolą, możliwość realnego wsparcia potrzebujących staje się źródłem satysfakcji i sensu. To uczucie wzrasta szczególnie w czasie kryzysu. Przekazywanie pieniędzy staje się wtedy również sposobem na radzenie sobie z własnymi emocjami – lękiem, bezradnością czy smutkiem.

Skuteczność zbiórek, podobnie jak skuteczność większości form komunikacji, zależy w dużym stopniu od umiejętności opowiedzenia swojej historii. To personalizacja i emocjonalny przekaz przyciągają uwagę darczyńców. Technologia nie rozwiązuje problemu wstydu i dumy, które powstrzymują ludzi przed proszeniem o pomoc, ale osobom, które mają większą łatwość w jej



używaniu, z całą pewnością ułatwia skuteczne poszukiwanie wsparcia. Z naszych doświadczeń w Pomagam.pl i obserwacji tego, jak działa crowdfunding wynika, że bardzo dużą skuteczność w zbieraniu środków w sytuacjach najtrudniejszych mają osoby o dużym kapitale kulturowym, potrafiące bardzo dobrze posługiwać się mediami społecznościowymi oraz posiadające rozległy network, często przez to, że są aktywnymi uczestnikami różnych społeczności (praca, kluby sportowe, subkultury, kościół, etc.).

Z jednej strony jest to bardzo pozytywne, bo sprawia, że nasze aktywne życie i wszystkie wcześniejsze prospołeczne zachowania są

Skuteczność zbiórek, podobnie jak skuteczność większości form komunikacji, zależy w dużym stopniu od umiejętności opowiedzenia swojej historii. To personalizacja i emocjonalny przekaz przyciągają uwagę darczyńców

pewnego rodzaju polisą ubezpieczeniową, takim autentycznym zbieraniem karmy na przyszłość. Z drugiej strony, jako społeczeństwo powinniśmy się też pochylić nad tym, jak zadbać, by pomoc trafiała tam, gdzie jest najbardziej potrzebna, niezależnie od umiejętności beneficjentów i od tego, czy potrafią sobie poradzić z barierą wstydu.

Wiele badań nad skutecznością darowizn wykazuje, że jednym z najlepszych sposobów na to, żeby pomagać, jest po prostu bezpośrednie przekazywanie pieniędzy osobom potrzebującym, najlepiej bez stawiania specjalnych wymagań co do sposobów ich wydawania. Niektórym może się to wydać kontrowersyjne, ale stoi za tym masa badań i metaanaliz ([https://www.givedirectly.org/research-on-cash-transfers/), a obawy związane z dawaniem pieniędzy potrzebującym wynikają często z nawet podświadomego traktowania tych, którzy mają mniej jako mniej racjonalnych i mniej kompetentnych w rozwiązywaniu swoich problemów. Z tymi przekonaniami mierzyli się niedawni nobliści z ekonomii Abhijit Banerjee i Esther Duflo w książce „Poor Economics: A Radical Rethinking of the Way to Fight Global Poverty" udowadniając na wielu przykładach, że są to uprzedzenia, które nie mają podstaw i wynikają raczej z głębokiego niezrozumienia sytuacji, w której znajdują się osoby potrzebujące pomocy.

O ile więc przekazywanie środków do osób prywatnych, które znalazły się w potrzebie jest bardzo dobrym pomysłem, warto rozważyć również rozszerzenie swojego wachlarza darowizn o organizacje pozarządowe, które nie tylko są w stanie podejmować się działań bardziej systemowych, ale również mogą być dobrym sposobem dotarcia do osób, które mają większą trudność w samodzielnym zorganizowaniu sobie wsparcia.

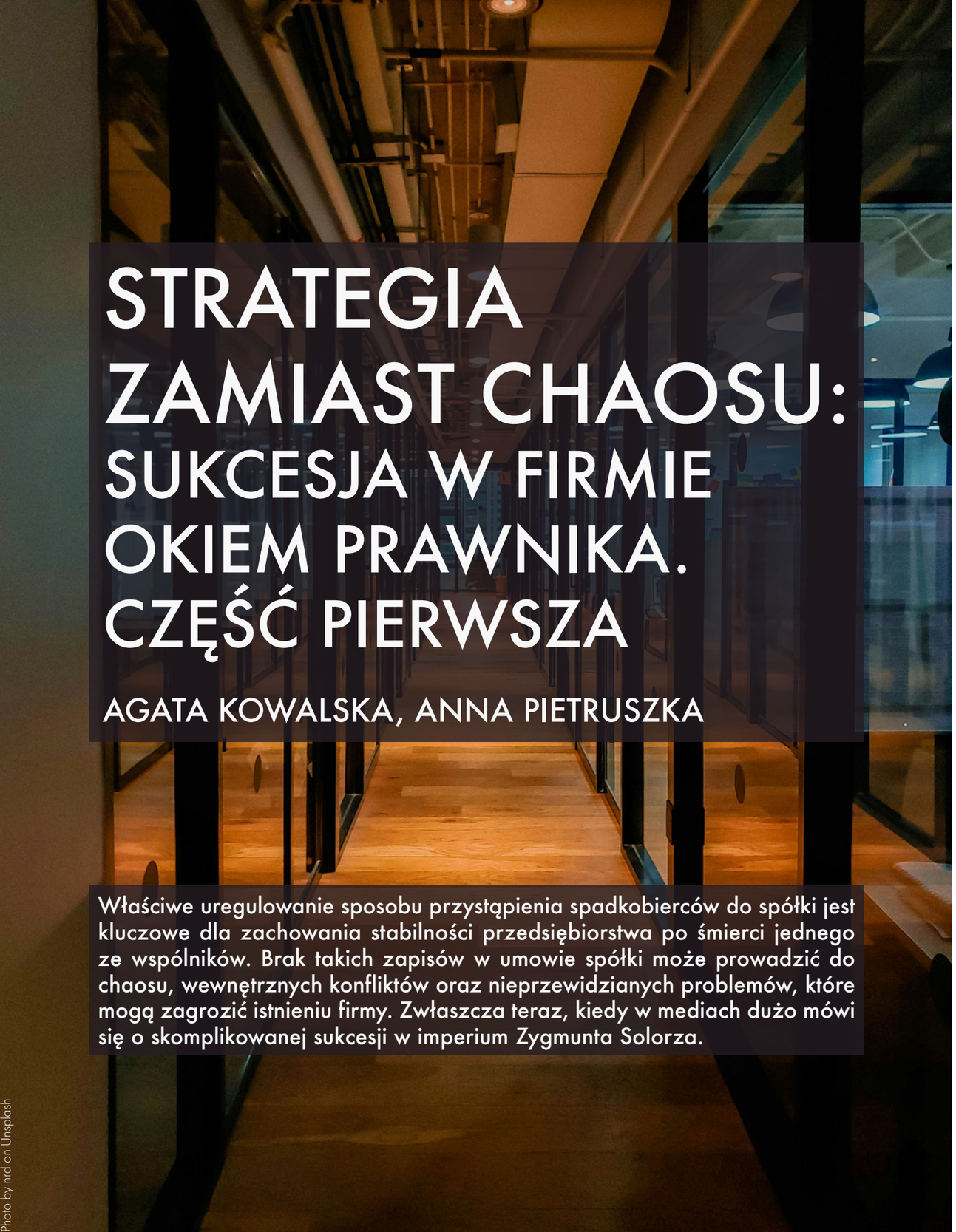
Sporo uwagi tematowi filantropii i tego, jak można podchodzić do niej z perspektywy ekonomicznej, poświęcił Tyler Cowen, autor bloga „Marginal Revolution". Jest on dużym zwolennikiem bezpośredniego przekazywania środków potrzebującym, ale jednocześnie jedna z wielu rad na temat rozsądnego dzielenia się pieniędzmi z jego książki „Discover Your Inner Economist" brzmi po prostu: „Jeśli natrafimy na ważną kwestię społeczną i wiarygodną organizację dobroczynną, dobrze jest przy nich trwać. Stałość naszego wsparcia zwiększa efektywność finansową takich organizacji.".

Katastrofy są testem dla naszego społeczeństwa – testem, który zdaliśmy z wyróżnieniem. Kluczowe jest teraz to, by energia i empatia, które obserwujemy w czasach trudnych, przełożyły się na systematyczne działania: budowanie kultury regularnego wsparcia, przełamywanie barier wstydu związanego z proszeniem o pomoc oraz tworzenie efektywnych systemów redystrybucji. Mamy szansę stworzyć społeczeństwo nie tylko bardziej odporne na kryzysy, ale przede wszystkim takie, w którym solidarność jest nieodłącznym elementem codziennego życia, a nie tylko reakcją na katastrofę. ●



DOBROSŁAWA GOGŁOZA

Dyrektorka zarządzająca serwisu Pomagam.pl oraz założycielka platformy Doing Good, który pomaga znaleźć pracę w impaktowych branżach. Była założycielką i wieloletnią prezeską Stowarzyszenia Otwarte Klatki, organizacji zajmującej się ochroną zwierząt hodowlanych, która została uznana za jedną z najskuteczniejszych na świecie.



STRATEGIA ZAMIAST CHAOSU: SUKCESJA W FIRMIE OKIEM PRAWNIKA. CZĘŚĆ PIERWSZA

AGATA KOWALSKA, ANNA PIETRUSZKA

Właściwe uregulowanie sposobu przystąpienia spadkobierców do spółki jest kluczowe dla zachowania stabilności przedsiębiorstwa po śmierci jednego ze wspólników. Brak takich zapisów w umowie spółki może prowadzić do chaosu, wewnętrznych konfliktów oraz nieprzewidzianych problemów, które mogą zagrozić istnieniu firmy. Zwłaszcza teraz, kiedy w mediach dużo mówi się o skomplikowanej sukcesji w imperium Zygmunta Solorza.

Photo by nrd on Unsplash

Sukcesja w firmie staje się kluczowym wyzwaniem dla wielu polskich przedsiębiorców, którzy w latach 90. zakładali, następnie po bezprecedensowym sukcesie gospodarczym Polski, rozwijali swoje firmy. Dzisiaj zapewnienie płynnego przekazania władzy i własności kolejnemu pokoleniu to temat, który często jest bagatelizowany, a jego zaniedbanie może prowadzić do nieodwracalnych szkód.

Właściwe uregulowanie sposobu przystąpienia spadkobierców do spółki jest kluczowe dla zachowania stabilności przedsiębiorstwa po śmierci jednego ze wspólników. Brak takich zapisów w umowie spółki może prowadzić do chaosu, wewnętrznych konfliktów oraz nieprzewidzianych problemów, które mogą zagrozić istnieniu firmy. Zwłaszcza teraz, kiedy w mediach dużo mówi się o skomplikowanej sukcesji w imperium Zygmunta Solorza.

Odpowiednie zabezpieczenie sukcesji można zrealizować na kilka sposobów, a jednym z najskuteczniejszych narzędzi jest przemyślana strategia i plan realizowany z odpowiednim wyprzedzeniem. Dzisiaj praktycznie o tym, jakie rozwiązania można zastosować, aby ochronić firmę przed chaosami i konfliktami.

Testament – fundament sukcesji

Testament to najprostsze narzędzie, które umożliwia właścicielowi firmy precyzyjne określenie, kto przejmie przedsiębiorstwo po jego śmierci. Brak testamentu powoduje, że dziedziczenie odbywa się zgodnie z ustawą, co często prowadzi do podziału majątku między wielu spadkobierców. W takim scenariuszu udziały

Odpowiednie zabezpieczenie sukcesji można zrealizować na kilka sposobów, a jednym z najskuteczniejszych narzędzi jest przemyślana strategia i plan realizowany z odpowiednim wyprzedzeniem. Dzisiaj praktycznie o tym, jakie rozwiązania można zastosować, aby ochronić firmę przed chaosami i konfliktami

w umowie spółki może prowadzić do chaosu, wewnętrznych konfliktów oraz nieprzewidzianych problemów, które mogą zagrozić istnieniu firmy. Zwłaszcza teraz, kiedy w mediach dużo mówi się o skomplikowanej sukcesji w imperium Zygmunta Solorza.

Odpowiednie zabezpieczenie sukcesji można zrealizować na kilka sposobów, a jednym z najskuteczniejszych narzędzi jest przemyślana strategia i plan realizowany z odpowiednim wyprzedzeniem. Dzisiaj praktycznie o tym, jakie rozwiązania można zastosować, aby ochronić firmę przed chaosami i konfliktami.

Testament – fundament sukcesji

Testament to najprostsze narzędzie, które umożliwia właścicielowi firmy precyzyjne określenie, kto przejmie przedsiębiorstwo po jego śmierci. Brak testamentu powoduje, że dziedziczenie odbywa się zgodnie z ustawą, co często prowadzi do podziału majątku między wielu spadkobierców. W takim scenariuszu udziały czy akcje w spółce mogą zostać podzielone pomiędzy spadkobierców, co może prowadzić do trudności w zarządzaniu firmą. Testament w formie aktu notarialnego, z konkretnymi zapisami windykacyjnymi daje większą pewność i zmniejsza ryzyko przyszłych sporów. Wymaga jednak podjęcia przez spadkobiercę decyzji, co komu przekazać.

Corporate governance

Sukcesję w firmie można wcześniej uregulować na poziomie umowy (statutu spółki). To dotychczasowi wspólnicy powinni móc decydować, z kim chcą dalej prowadzić biznes.

Odpowiednie zapisy mogą określać, co stanie się z udziałami po śmierci jednego ze wspólników, a także jakie kroki mają zostać podjęte w celu zapewnienia płynnego zarządzania. Jednym z najważniejszych aspektów, które można uregulować na poziomie umowy spółki, jest sposób, w jaki spadkobiercy mogą wstąpić do spółki po śmierci właściciela udziałów. W polskim systemie prawnym istnieje kilka możliwości zmodyfikowania dokumentów korporacyjnych w taki sposób, aby zapewnić płynne przejęcie firmy przez wybrane osoby, jednocześnie chroniąc interesy pozostałych wspólników.

Zgoda wspólników na przystąpienie spadkobierców

Jednym z mechanizmów może być zapis, który wymaga zgody pozostałych wspólników na przystąpienie spadkobierców do spółki. Oznacza to, że spadkobiercy nie stają się automatycznie właścicielami udziałów zmarłego wspólnika. Muszą najpierw uzyskać zgodę od pozostałych wspólników, co pozwala firmie kontrolować, kto faktycznie wchodzi do struktury właścicielskiej. Dzięki temu zapobiega się sytuacjom, w których osoby niezwiązane z działalnością firmy przejmują udziały, co mogłoby zagrozić jej stabilności.



Photo by Nastuh Abootalebi on Unsplash

Takie rozwiązanie jest szczególnie przydatne w firmach rodzinnych, gdzie spadkobiercami często stają się członkowie rodziny, którzy nie są bezpośrednio zaangażowani w działalność przedsiębiorstwa. Pozostałym wspólnikom daje to możliwość decydowania o tym, kto dołączy do zespołu właścicieli i jaki będzie wpływ nowych wspólników na firmę.

Podział udziałów między spadkobierców

Często zdarza się, że po śmierci jednego z właścicieli udziałów, spadkobiercami staje się więcej niż jedna osoba, np. dzieci i małżonek. Umowa spółki może zawierać zapisy wyłączające lub w określony sposób ograniczające podział udziałów między nimi.

Spadkobiercy są uprawnieni do wyznaczenia wspólnego przedstawiciela, który będzie podejmował decyzje w ich imieniu. Jeżeli tego nie zrobią, to prawa z udziałów zmarłego wspólnika nie mogą być wykonywane. Pozostali wspólnicy i spółka nie są zobowiązani wolą poszczególnych spadkobierców.

Automatyczne umorzenie udziałów

W przypadku podjęcia decyzji o niewpuszczeniu spadkobierców do spółki, należy wprowadzić mechanizm, który umożliwi rozliczenie z nimi. Jedną z możliwości jest automatyczne umorzenie udziałów zmarłego wspólnika. W takim wypadku, w określonym czasie udziały zostają umorzone, a spadkobiercy otrzymują wynagrodzenie za te udziały. Dzięki temu firma unika sytuacji, w której udziały trafiają w ręce osób, co do których nie chcemy, aby zostały naszymi wspólnikami i mogły współdecydować o dalszych losach spółki i prowadzonej przez nią działalności.

Automatyczne umorzenie udziałów może być także stosowane w przypadku, gdy spadkobiercy nie uzyskają zgody pozostałych wspólników na przystąpienie do spółki. W ten sposób spółka chroni się przed niepożądanymi zmianami w strukturze właścicielskiej, które mogłyby destabilizować jej działalność.

Umorzenie dobrowolne

Innym mechanizmem rozliczenia jest możliwość dobrowolnego umorzenia udziałów, jeżeli spadkobiercy nie chcą pozostać wspólnikami spółki. Umowa spółki może przewidywać, że w takim przypadku spółka (celem umorzenia) lub wspólnicy mają obowiązek wykupu tych udziałów za określoną kwotę, co zapewnia spadkobiercom wynagrodzenie, a firmie stabilność. To rozwiązanie daje obu stronom większą elastyczność i minimalizuje ryzyko konfliktów.

W kolejnej części opowiem o fundacjach rodzinnych, nowym narzędziu do gromadzenia i inwestowania rodzinnego kapitału. Sukcesja to moment, w którym przedsiębiorstwo musi zmierzyć się z realnym wyzwaniem – jak przekształcić lata budowania wartości w stabilną przyszłość? Dzięki świadomemu planowaniu i odpowiednim zapisom, firma może uniknąć niepotrzebnych komplikacji i zapewnić sobie ciągłość. To decyzja, która nie tylko chroni dorobek, ale też daje przestrzeń do dalszego rozwoju, bez ryzyka chaosu i niepewności. Przedsiębiorco, parafrazując klasyka, strzeż mądrze swojej wolności prowadzenia działalności, zgodnie ze swoimi celami i na swoich warunkach. ●



AGATA KOWALSKA

Radca prawny, partner zarządzający w Chabasiewicz Kowalska i Partnerzy (www.ck-legal.pl). Specjalizuje się w transakcjach fuzji i przejęć, prawie spółek oraz w doradztwie związanym z ochroną praw własności intelektualnej. W procesach inwestycyjnych współpracuje zarówno z funduszami VC/PE, ASI, inwestorami branżowymi, jak i spółkami oraz ich udziałowcami. Zdobyła doświadczenie w transakcjach dotyczących podmiotów z różnych branż, głównie nowych technologii (fintech, biotech, gaming). Zarządza projektami fuzji i przejęć na rynkach polskim i międzynarodowym (Europa, Azja, Ameryka Północna). Jest ekspertem legislacyjnym Izby Gospodarki Elektronicznej. Działa w ruchu ekonomii wartości Open Eyes Economy. Zasiada w radach nadzorczych spółek Salesmanago i Summa Linguae Technologies. Jest arbitrem stałym w Izbie ds. Rozwiązywania Sporów Sportowych przy PZPN. Była Wiceprezesem Zarządu, a także Przewodniczącą Rady Nadzorczej Lechii Gdańsk S.A. Jest współzałożycielką i Wiceprezesem Stowarzyszenia Piękne Anioły, które remontuje pokoje najuboższych dzieci w Polsce.



ANNA PIETRUSZKA

Technologiczna aktywistka, która swoimi działaniami dąży do ustanowienia naszego dobrobytu oraz ochrony zasobów naturalnych priorytetem, który powinien stać się częścią rozważań nad dalszym kierunkiem rozwoju technologii komunikacyjno-informacyjnych. Doświadczenie zdobywała w agencjach komunikacji i doradztwa biznesowego. Współpracowała m.in. z UNESCO, Tate exChange, El Pais. W ramach Instytutu Ekologii Cyfrowej, opracowuje programy edukacyjne, które zwiększają świadomość fizycznego wymiaru Internetu oraz wprowadza dobre praktyki i etyczne narzędzia, które umożliwiają osiągnięcie cyfrowego dobrostanu i suwerenności. Pomimo swojego krytycznego spojrzenia na obecny kierunek rozwoju Internetu pozostaje raczej technologiczną optymistką

POMINĄĆ NOWOCZESNOŚĆ

PIOTR KOSIEWSKI



Wątek odnajdowania się w płynnej rzeczywistości, by przywołać znane Baumannowskie określenie, jest być może kluczowy. I jest to spojrzenie z wyraźnie określonej perspektywy: znaczenia tradycji narodowych we współczesnym świecie oraz relacji lokalność – globalizacja. Przyjęcie takiego punktu widzenia spowodowało, że wystawy, opowiadając o przeszłości, dotykały jednocześnie aktualnych sporów.

materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. Patryk Jeziorski

Niedawno w krakowskim Muzeum Narodowym zakończyła się wystawa „Nowoczesność reglamentowana. Modernizm w PRL". Była to trzecia wystawa z realizowanego przez to muzeum od 2021 roku cyklu „4 × nowoczesność", poświęconego polskim procesom modernizacyjnym w sztuce, designie i architekturze w XX oraz na początku XXI wieku. Pierwszą, zatytułowaną „Polskie style narodowe" i poświęconą twórczości z ostatnich dekad XIX i pierwszych XX wieku, można było oglądać od lipca 2021 do stycznia 2022 roku. Druga, „Nowy początek", prezentowana od lipca 2022 do lutego 2023 roku dotyczyła dwudziestolecia międzywojennego. W grudniu tego roku otworzy się ostatnia część cyklu – „Transformacje" – poświęcona sztuce po 1989 roku.

Polski system prawa zbudowany jest na koncepcji prawnej ochrony zwierząt, która rozumiana jest jako ochrona ich dobrostanu, a nie ochrona ich praw. Koncepcja ta zakłada, że człowiek jest winny zapewnić zwierzętom określone standardy życia

Zanim to jednak nastąpi, warto przyjrzeć się, jaki wyłania się obraz historii polskiej modernizacji z dotychczasowych prezentacji. To istotne, bo cały cykl jest najbardziej doniosłym intelektualnie po 2015 roku przedsięwzięciem dotyczącym sztuk wizualnych, pokazującym sposób patrzenia na przeszłość środowisk konserwatywnych w naszym kraju, bliski intelektualnie, ale – co jest bardzo ważne – nie tożsamy z rządzącym w Polsce w latach 2015-2023 obozem politycznym. Podobnie zresztą, jak inne wystawy zorganizowane w krakowskim muzeum za dyrekcji Andrzej Szczerskiego, jak chociażby poważna, zorganizowana w 2023 roku monograficzna ekspozycja Jana Matejki.

Przygotowany w sposób przemyślany i konsekwentny cykl „4 × nowoczesność" pozwala lepiej zrozumieć różnice w patrzeniu na naszą przeszłość, ale, co ważniejsze, na to, co z niej jest uważane za konstytutywne dla naszej tożsamości przez środowiska konserwatywne czy prawicowe. Wystawy w jego ramach przygotowane, opowiadające o poszukiwaniach artystycznych, były jednocześnie próbą zmierzenia się z polskimi przygodami z nowoczesnością i odnalezienia się w stale zmieniającym się świecie. Co więcej, wątek odnajdowania się w płynnej rzeczywistości, by przywołać znane Baumannowskie określenie, jest być może kluczowy. I jest to spojrzenie z wyraźnie określonej perspektywy: znaczenia tradycji narodowych we współczesnym świecie

oraz relacji lokalność – globalizacja. Przyjęcie takiego punktu widzenia spowodowało, że wystawy, opowiadając o przeszłości, dotykały jednocześnie aktualnych sporów.

Można było zatem sądzić, że krakowski cykl sprowokuje do sporów, dyskusji, polemik. Tym bardziej, że pytanie o kształt naszej nowoczesności stało się jednym z kluczowych w ostatnim czasie, by tylko przywołać „Prześnioną rewolucję" Andrzeja Ledera. Owszem, ukazało się kilka, czasami solidnych, recenzji, jednak o poważniej debacie trudno mówić. Być może przyczyny należy szukać w ostrym spolaryzowaniu naszego życia publicznego, objawiającym się także, paradoksalnie może, w swoistym *désintéressement*, tym, co nie-nasi mówią.

Sporów nie wywołał „Nowy początek", proponujący odmienne spojrzenie na Dwudziestolecie, uznawane za jeden z kluczowych okresów dla budowania współczesnej polskiej tożsamości, ale też dla konserwatywnych czy prawicowych środowisk intelektualnych stanowiące ważny punkt odniesienia w myśleniu (także dzisiaj) o państwie oraz o społeczeństwie. Można to jednak zrozumieć: dla większości odbiorców lata 1918-1939 to bardzo odległy okres. Owych sporów nie wywołała jednak także wystawa dotycząca PRL-u.

„Nowoczesność reglamentowana" była bardzo obszerną ekspozycją. Znalazło się na niej aż 360 eksponatów, od obrazów, rzeźb i grafik, po fotografie i filmy. Pokazano projekty i modele architektoniczne, przykłady designu, książki i czasopisma, a nawet obiekty techniczne. Sam zestaw nazwisk był imponujący: od Xawerego Dunikowskiego, Władysława Strzemińskiego i Marię Jaremę, poprzez Oskara Hansena, Alinę Szapocznikow, Tadeusza Kantora, Andrzeja Wróblewskiego i Magdalenę Abakanowicz po Edwarda Dwurnika, KwieKulik, Włodzimierza Pawlaka i Łódź Kaliską. Znalazły się dzieła znane, ale też nieoczywiste, rzadko prezentowane lub po prostu szerzej nieznane. Praca ze wstrząsającego cyklu „Moim przyjaciołom Żydom" Władysława Strzemińskiego sąsiadowała z projektem „Pomnika Drogi" w Auschwitz-Birkenau autorstwa Oskara Hansena z zespołem. Nieopodal zmysłowego „Trudnego wieku" Aliny Szapocznikow zawisła tkanina Magdaleny Abakanowicz „Życie Warszawy" powtarzająca pierwszą stronę wydania popularnego warszawskiego dziennika. Były zdjęcia z cyklu „Zapis socjologiczny" Zofii Rydet oraz wybór slajdów z „Notatników fotograficznych" Władysława Hasiora, w których artysta dokumentował ikonosferę Polski Ludowej. Pokazano też projekt Skutera OSA M52 Krzysztofa Meisnera i Jerzego Jankowskiego

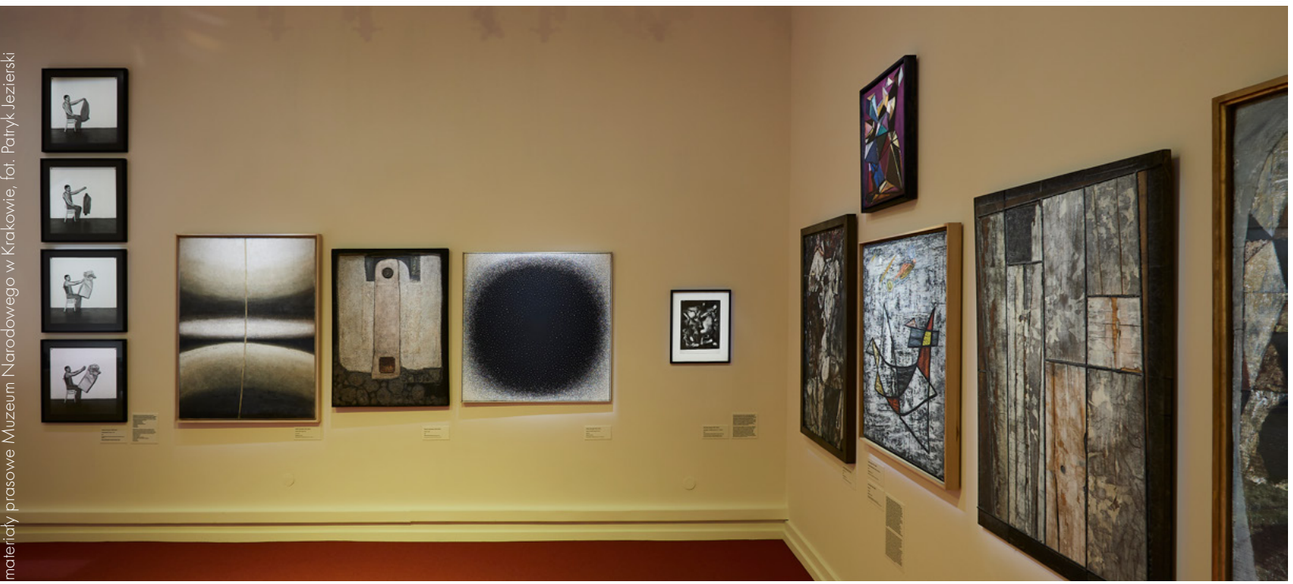


materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. Patryk Jezierski

Sam zestaw nazwisk był imponujący: od Xawerego Dunikowskiego, Władysława Strzemińskiego i Marię Jaremę, poprzez Oskara Hansena, Alinę Szapocznikow, Tadeusza Kantora, Andrzeja Wróblewskiego i Magdalenę Abakanowicz po Edwarda Dwurnika, KwieKulik, Włodzimierza Pawlaka i Łódź Kaliską. Znalazły się dzieła znane, ale też nieoczywiste, rzadko prezentowane lub po prostu szerzej nieznane



materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. Patryk Jezierski



materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. Patryk Jezierski

z 1963 roku, ikoniczny już Fotel RM58 Romana Modzelewskiego z 1958 roku czy ubrania zaprojektowane przez Barbarę Hoff.

Jednocześnie twórcy ekspozycji chcieli ukazać napięcia „między ówczesnymi językami wizualnymi a doświadczeniem wojennym", to, jak presja ideologiczna wpływała na rozumienie społecznej roli sztuki, na jej treść oraz przekaz. Wreszcie, jak podkreślali, wystawa „rzuca światło na paradoksalny charakter modernizacji w czasach PRL, porównując idee modernistyczne z deformacjami modernistycznych projektów, które kształtowały ówczesne życie codzienne".

Co najważniejsze, „Nowoczesność reglamentowana" zaproponowała jednak odmienne od zwyczajowego spojrzenie na sztukę powstającą w czasach PRL-u. Przywołane w jej tytule słowo „reglamentacja" nie jest sprowadzone do „walki o wolność sztuki, toczącej się między artystami a władzą polityczną", lecz dotyczy różnych rodzajów ograniczeń, od wyboru możliwości tego, co się tworzy, po inspiracje i drogi realizacji.

Ciekawe mogłoby być odejście od ostro zarysowanej dychotomii artyści-władza. Pokazanie, że nie tylko w czasach socrealizmu artystki i artyści odnajdowali się w socjalistycznej rzeczywistości (a przynajmniej próbowali się to robić). Ba, podzielali ideały głoszone przez władzę, by wspomnieć jedynie działania z lat 70. Pawła Kwieka i Zofii Kulik proponujących odnowę socjalizmu. Problemem jest jednak to, że ostatecznie wystawa opowiadała o uwikłaniach polskiej sztuki, a niemalże jedynym obszarem prawdziwej wolności artystycznej okazuje się... Kościół. Nie można jednak zapominać, że – nie tylko w Polsce – w tym czasie powstało niewiele sakralnych realizacji naprawdę wybitnych. I nawet przywołanie polichromii Jerzego Nowosielskiego w kościele pw. Ducha Świętego w Tychach

Co najważniejsze, „Nowoczesność reglamentowana" zaproponowała jednak odmienne od zwyczajowego spojrzenie na sztukę powstającą w czasach PRL-u. Przywołane w jej tytule słowo „reglamentacja" nie jest sprowadzone do „walki o wolność sztuki, toczącej się między artystami a władzą polityczną", lecz dotyczy różnych rodzajów ograniczeń, od wyboru możliwości tego, co się tworzy, po inspiracje i drogi realizacji

nie zmienia naszego kanonu artystycznego drugiej połowy XX wieku.

Na tę opowieść nakładała się druga: o niemożności, brakach, ciągłych niedostatkach. O tytułowej reglamentacji rozumianej bardzo dosłownie – znakiem wystawy stała się oryginalna kartka zaopatrzeniowa na produkty mięsne, wystawiona na sierpień 1989 roku. Nawet jeżeli miał być to jedynie chwyt reklamowy, to dobrze definiował to, jak twórcy wystawy pokazali ten czas. Po jej obejrzeniu można się zastanawiać, dlaczego powstało w tym czasie tak wiele dzieł, które do dziś są ważne, oglądane, a przede wszystkim aktualne. Co więcej, to samo muzeum za czasów dyrekcji Andrzeja Szczerskiego zaczęło prace nad utworzeniem w Krakowie Muzeum Architektury i Designu. A do zbiorów Muzeum Narodowego pozyskało wiele przekładów polskiego wzornictwa czasów PRL-u. To jeden z paradoksów tej wystawy, pokazujący jednak coś więcej: problem polskiej prawicy z dziedzictwem Polski Ludowej.

„Nowoczesność reglamentowana" chciała podważyć przekonanie, że w czasach komunizmu doszło do zerwania ciągłości historycznej. Dość przekonująco pokazuje, że było przeciwnie: owa ciągłość zastała zachowana – w tym dorobek modernizacyjny poprzednich dekad. Tylko, jak pisze w katalogu towarzyszącym wystawie Andrzej Szczerski, władze PRL chciały „pokazać siebie jako jedynych prawdziwych modernizatorów w najnowszej historii Polski". Przy tym podejrzani stają się dążący do modernizacji, którzy, jak dalej pisze w swym tekście Andrzej Szczerski, przywołując publikację bułgarskiego badacza Aleksandra Kiosewa (Alexander Kiossev), reprezentowali postawę autokolonialną. „To, co wydawać się mogło wyrazem wolności twórczej i w realiach zimnowojennych tak też było odbierane, potwierdzało istniejące w polskiej tradycji intelektualnej od czasów zaborów przekonanie o wtórności kultury polskiej i jej peryferyjnym znaczeniu w historii Europy i świata" – podkreśla dyrektor krakowskiego muzeum. Kluczową kwestią okazuje się zatem nie zerwanie, ale ciągłość naszej nowoczesności. Może zatem należy przekreślić całą tę tradycję, a przynajmniej bardziej niż podejrzliwie przyglądać się temu, co i jak modernizowano?

Wcześniejsze wystawy z tego cyklu proponowały poszerzone postrzeganie nowoczesności. Pokazywały, że należy mówić o niej w liczbie mnogiej. Akcentowały wreszcie, że były istotne różnice w przebiegu procesów „detradycjonalizacji". Co więcej, sam kształt modernizacji – podkreślali jej twórcy – jest nie tylko zależny od lokalnych uwarunkowań, ale nie musi radykalnie przeciwstawiać się tradycji. Można zatem „oswoić" modernizację, nadać jej swojskie, polskie oblicze. Przekonywać, że nie należy zatem bać się nowinek technicznych, uprzemysłowienia, nowej architektury czy wyposażenia wnętrz. „Nowy początek" był gloryfikacją COP-u i budowy Gdyni. Modernizacja może zatem, ale nie musi prowadzić do zmian społecznych czy kulturowych. Kluczowe pytanie brzmi zatem: jaka była reakcja Polek i Polaków – jako zbiorowości,



materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. Patryk Jezierski



materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie, fot. Patryk Jezierski

ale też jednostek – na procesy modernizacyjne? Odpowiedź udzielona na „Reglamentowanej nowoczesności" jest zaskakująca. Oglądając wystawę, można było odnieść wrażenie, że w PRL-u nie zaszły procesy modernizacyjne, które głęboko przeorały całe społeczeństwa. O tych wszystkich, urodzonych w latach 30., 40. czy 50., którzy jak Leszek Górecki, bohater „Dalego od szosy", „wychowani byli w wiejskich chatach, a po kilku klasach szkoły podstawowej wyjeżdżali do mniejszych miast, często nowych ośrodków przemysłowych, tworzonych dopiero co przez komunistyczne władze. Tam z mieszkańców wsi stawali się małomiasteczkowymi mieszczanami, wiejskie domy zamieniali na bloki z wielkiej płyty, kończyli technika i szkoły zawodowe, zatrudniali się w nowo powstających fabrykach, przechodzili życiową drogę niemal analogiczną do perypetii Leszka Góreckiego".

niemalże wyłącznie w negatywnym znaczeniu. Brakuje jednak wzmianek o awansie społecznym i cywilizacyjnym. O likwidacji analfabetyzmu, rozwoju edukacji. O powszechnej służbie zdrowia. O emancypacji kobiet. Wszystkie te procesy miały swoje niedostatki, braki, ale są jednak faktami, które istotnie zmieniały życie społeczne, ale też wzorce kulturowe i obyczajowe. W ostatnich latach – po okresie negacji PRL-u – coraz częściej o nich się mówi – przywołany powyżej cytat o doświadczeniu Leszka Góreckiego pochodzi z tekstu opublikowanego przed kilkoma laty na łamach „Plusa-Minusa" przez Piotra Kaszczyszyna, byłego redaktora naczelnego „Pressji", a obecnie szefa portalu opinii Klubu Jagiellońskiego. Osoby, która ideowo jest zapewne bliska autorom koncepcji wystawy.

Modernizacja może zatem, ale nie musi prowadzić do zmian społecznych czy kulturowych. Kluczowe pytanie brzmi zatem: jaka była reakcja Polek i Polaków – jako zbiorowości, ale też jednostek – na procesy modernizacyjne? Odpowiedź udzielona na „Reglamentowanej nowoczesności" jest zaskakująca

Owszem, mówi się na wystawie o powojennej odbudowie. O uprzemysłowieniu, chociaż

Tym bardziej uderzające na „Nowoczesności reglamentowanej" było to pominięcie procesów modernizacyjnych. Jakby jej autorzy nie chcieli się zmierzyć z całym dziedzictwem przemian, jakby nadal czas PRL-u można było sprowadzić do opowieści z filmów Stanisława Barei pomieszanych z historią realnej przemocy, którą przecież posługiwało się to państwo. Sama wystawa być może pokazywała jednak coś więcej: zmieniający się stosunek do nowoczesności, korzeniami tkwiącej w czasach Oświecenia; jego dziedzictwa, dziś tak często, zasadnie krytykowanego z różnych stron ideowych.

Coraz częstsze głosy nawołujące do jego odrzucenia są jednak przede wszystkim po prawej stronie. Postrzegają Oświecenie jako zagrożenia dla polskiej tożsamości. Nie idzie już o pogodzenie nowoczesności z tradycjonalistyczną wizją społeczeństwa, lecz zwrot ku wcześniejszym, przedoświeceniowym czasom. Pozostaje pytanie, co zamiast: zwrot ku wiele dawniejszym tradycjom, jak sławiony przez wielu sarmacki republikanizm? Opowiedzenie się za reakcjonizmem – traktując ten termin opisowo, a nie wartościująco, nawet jeżeli wybór takiej postawy oznacza porzucenie umiaru, cechy tak bliskiej konserwatywnej postawie? To wybór, który dla niektórych staje się coraz bardziej realną opcją. Trzeba zauważać te przemiany, nie tylko polskiej prawicy. Wystawy zaś, ale też sama sztuka – co chyba niekoniecznie jest zauważane – okazują się bardzo czułym barometrem zachodzących zmian.

***

Nowoczesność reglamentowana. Modernizm w PRL, Muzeum Narodowe w Krakowie, 17.11.2023-14.04.2024, Zespół kuratorski pod kierownictwem Andrzeja Szczerskiego i Piotra Juszkiewicza: Anna Budzałek, Magdalena Czubińska, Alicja Kilijańska, Bożena Kostuch, Joanna Regina Kowalska, Mirosław Piotr Kruk, Agata Małodobry, Monika Paś, Joanna Sapeta, Sabina Serafin, Agnieszka Smołucha-Sładkowska, Magdalena Święch, Katarzyna Uchowicz. ●

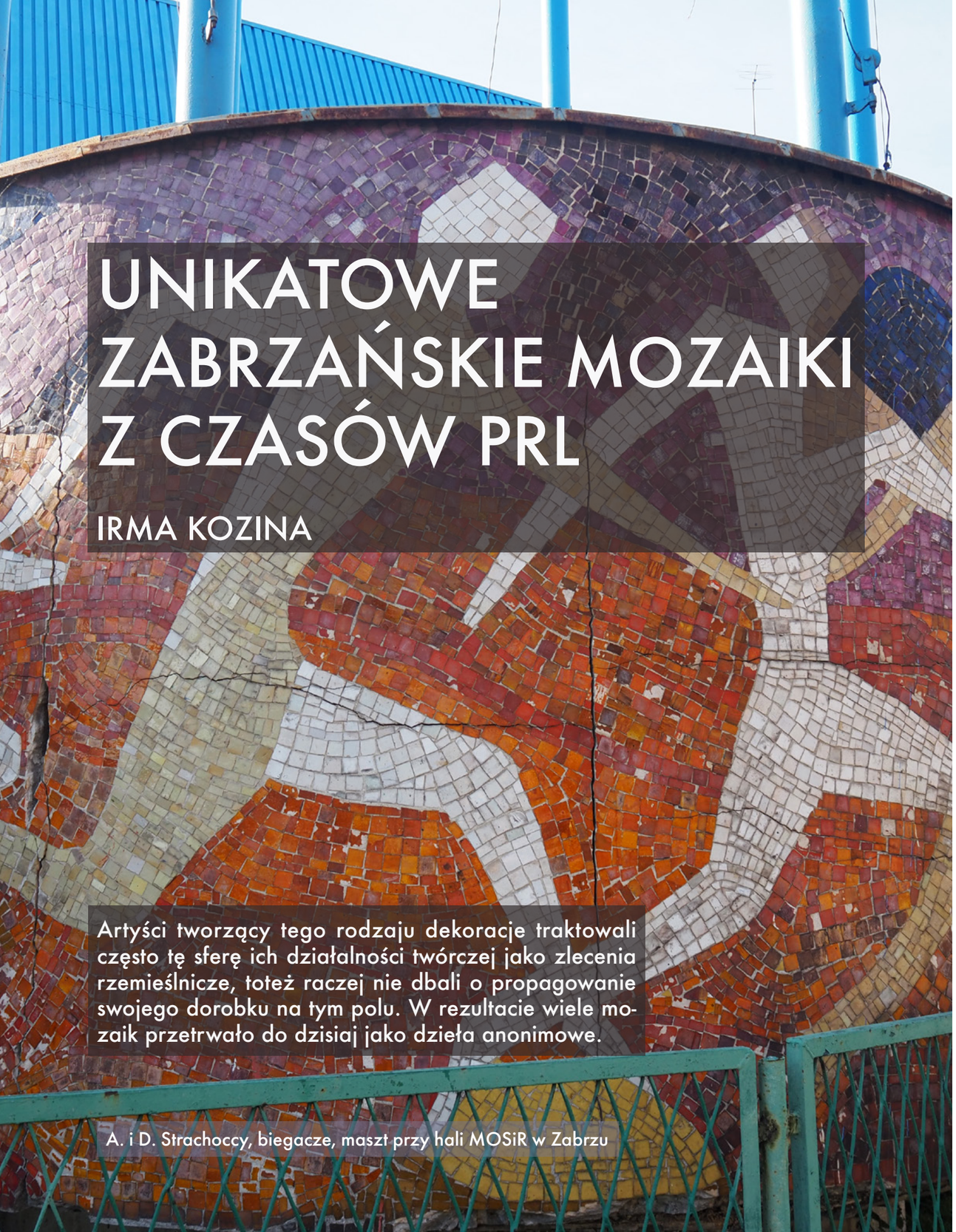


PIOTR KOSIEWSKI

Historyk i krytyk sztuki, publicysta. Dyrektor forumIdei Fundacji im. Stefana Batorego. Stały współpracownik „Tygodnika Powszechnego" i magazynu „Szum". Członek Sekcji Polskiej Międzynarodowego Stowarzyszenia Krytyki Artystycznej AICA. W latach 1990-2010 członek redakcji kwartalnika literackiego „Kresy". W latach 2007-2008 stały recenzent „Dziennik. Polska. Europa. Świat". Publikował także m.in. na łamach „Odry", „Przeglądu Politycznego", „Rzeczpospolitej", „Więzi" i „Znaku". Laureat Nagrody Krytyki Artystycznej im. Jerzego Stajudy za 2013 rok. Członek jury nagrody Wydarzenie Muzealne Roku „Sybilla" (edycje od 2006 do 2015 roku). Od 2020 jeden z nominatorów do Paszportów Polityki w kategorii sztuki wizualne.

UNIKATOWE ZABRZAŃSKIE MOZAIKI Z CZASÓW PRL

IRMA KOZINA



Artyści tworzący tego rodzaju dekoracje traktowali często tę sferę ich działalności twórczej jako zlecenia rzemieślnicze, toteż raczej nie dbali o propagowanie swojego dorobku na tym polu. W rezultacie wiele mozaik przetrwało do dzisiaj jako dzieła anonimowe.

A. i D. Strachoccy, biegacze, maszt przy hali MOSiR w Zabrzu

Z uwagi na trwałość okładzin ceramicznych – przy ich relatywnie niskiej cenie – mozaika okazała się niezwykle popularną techniką zdobienia wewnętrznych i zewnętrznych elewacji budynków w tak zwanym Bloku Wschodnim. Artyści tworzący tego rodzaju dekoracje traktowali często tę sferę ich działalności twórczej jako zlecenia rzemieślnicze, toteż raczej nie dbali o propagowanie swojego dorobku na tym polu. W rezultacie wiele mozaik przetrwało do dzisiaj jako dzieła anonimowe. W wydanych przed 1989 r. opracowaniach dokumentujących życie artystyczne PRL rzadko można znaleźć informacje na temat autorstwa dekoracji mozaikowych. Jedną z unikatowych prac zrealizowanych w technice mozaiki jest dekoracja elewacji wewnętrznej w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu, wzniesionym w końcu lat 50. XX wieku według projektu Zygmunta Majerskiego i Juliana Duchowicza. Niegdyś zdobiła ona przestrzeń gastronomiczno-rozrywkową, obecnie ukryta jest w jednym z biur administracji. To abstrakcyjna kompozycja, utrzymana w żywych, kontrastowych barwach, składająca się m. in. z koncentrycznego układu okręgów. Być może została wykonana przez wybitnego artystę, jednak jego nazwisko nie funkcjonuje w literaturze poświęconej współczesnej sztuce Zabrza. Poszukiwania szczegółowych informacji o tym dziele nie przyniosły jak dotąd satysfakcjonujących rezultatów.

Artysta był niejako zobowiązany utrzymać to przedstawienie w konwencji, która pozwalałaby wiernym na potraktowanie jego dzieła jako obrazu kultowego

Stosunkowo dobrze rozpoznane i przebadane natomiast są zabrzańskie kompozycje ceramiczne autorstwa Norberta Paprotnego, które znajdują się w kościele św. Józefa oraz w Teatrze Nowym. W przypadku kościoła św. Józefa mamy do czynienia z mozaiką przedstawiającą wizerunek Matki Boskiej Częstochowskiej. Artysta był niejako zobowiązany utrzymać to przedstawienie w konwencji, która pozwalałaby wiernym na potraktowanie jego dzieła jako obrazu kultowego. Mimo to jednak technika mozaikowa umożliwiła Paprotnemu wprowadzenie pewnych cech indywidualnych, które można odczytać jako jego autorski styl.

Niewątpliwie znacznie większą swobodę mógł jednak Paprotny wykazać, tworząc wielkoformatową dekorację w hallu teatralnym. Jest ona złożona z dużych elementów, przez co niektórzy

badacze określają ją nie tyle jako mozaikę, ile jako okładzinę ceramiczną. Jest też znacznie bardziej abstrakcyjna, choć w niektórych jej partiach rozpoznaje się motywy figuratywne, kojarzące się ze scenami z bajek dla dzieci, wyobrażającymi uczty królów i czarodziejów, wytworne damy w dworskich kreacjach itp. Tonacja tego dzieła jest utrzymana w barwach przygaszonych. Dominują w niej szarości, brązy i czernie, co zapewne wynika po części z techniki wypalania gliny użytej do wykonania ceramicznych elementów.

Urodzony w Pawłowie (dzielnicy Zabrza) w 1928 roku Norbert Paprotny specjalizował się w zakresie dekoracji monumentalnych jeszcze w trakcie studiów na krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, którą ukończył dyplomem przygotowanym pod kierunkiem Wacława Taranczewskiego w 1959 roku. W latach 1959-1971 zrealizował kilkadziesiąt monumentalnych dekoracji ściennych (zarówno w formie polichromii, jak też mozaik czy obrazów ceramicznych) we wnętrzach sakralnych i świeckich na terenie Górnego Śląska i Małopolski. W 1972 roku wyemigrował do Szwajcarii, gdzie zmarł w 2018 roku. Na wykonywanie ceramicznych prac mógł sobie pozwolić dzięki długoletniej przyjaźni z Bolesławem Książkiem, artystą związanym od 1951 roku z założoną w 1947 roku Spółdzielnią Pracy Przemysłu Ludowego i Artystycznego „Kamionka" w Łysej Górze, wyspecjalizowaną w eksperymentowaniu z tą techniką.

Krakowskiej badaczce dziejów tej spółdzielni, Bożenie Kostuch udało się jeszcze w 2016 roku przeprowadzić wywiad z Paprotnym, który odniósł się bezpośrednio do swoich monumentalnych obrazów ceramicznych z kościoła św. Floriana w Chorzowie. Warto jest go przytoczyć, ponieważ daje on wyobrażenie o tym, jak mógł wyglądać proces tworzenia ceramiki wykorzystanej do ułożenia kompozycji zdobiącej hall Teatru Nowego w Zabrzu: „W Kamionce w Łysej Górze przy pomocy mojego przyjaciela Bolesława Książka rozpocząłem wykonywać moje zlecenie. Po raz pierwszy spotkałem się z trudnością takiego zadania: płyty z wilgotnej jeszcze gliny o wymiarze 50x35 cm ułożone w dużej sali na podłodze dały mi płaszczyznę 5x5 m, czyli 25 m2 leżącej wilgotnej gliny. Aby rozrysować kompozycję figuralną według projektu, postanowiłem ustawić drabinę i długim bambusem z góry zacząłem rozrysowywać poszczególne figury reliefowo w mokrej glinie. Po tym zabiegu odsunąłem płyty, robiąc ścieżki w polu. Dopiero w takim układzie mogłem opracowywać rysunek figur reliefowo i strukturalnie. Po wysuszeniu i numeracji płyt nastąpiło pierwsze wypalanie.

Glazury rozmieszane w wiadrach są prawie wszystkie o różnych odcieniach szarości. Wiadra posiadają opisany kolor. Prawdziwy kolor pomalowanych płyt ujawnia się dopiero po wypaleniu. Jest to zawsze moment wielkiego napięcia"



A. i D. Strachoccy, tancerki, maszt przy hali MOSiR w Zabrzu

Po czym płyty ułożyłem na podłodze według numeracji, uwzględniając ścieżki między płytami. Dopiero teraz zaczęła się «czarodziejska» praca z dużą pomocą Bolesława Książka. Malowanie kompozycji barwnej, szarymi glazurami. Glazury rozmieszane w wiadrach są prawie wszystkie o różnych odcieniach szarości. Wiadra posiadają opisany kolor. Prawdziwy kolor pomalowanych płyt ujawnia się dopiero po wypaleniu. Jest to zawsze moment wielkiego napięcia. Płyty wychodzą z pieca pojedynczo i są same w sobie bardzo piękne, lecz aby zobaczyć efekt całej kompozycji, ułożyliśmy pole 5x5 m na podwórku Kamionki i z drugiego piętra odbieraliśmy wrażenie całości obrazu."

Jak wynika z przedstawionego tutaj opisu, artysta wypalający okładzinę z gliny nie mógł z góry przewidzieć ostatecznego efektu kolorystycznego. Dodatkową trudność stanowiło również kurczenie się gliny w wyniku wypalania oraz ewentualne uszkodzenie szkliwa w toku produkcji ceramiki. Te okoliczności sprawiały, że znacznie łatwiej wykonywało się ozdoby o większym stopniu abstrakcji, przy których można było zatuszować pewne nieprzewidziane defekty.



Mozaika w Domu Muzyki i Tańca w Zabrzu

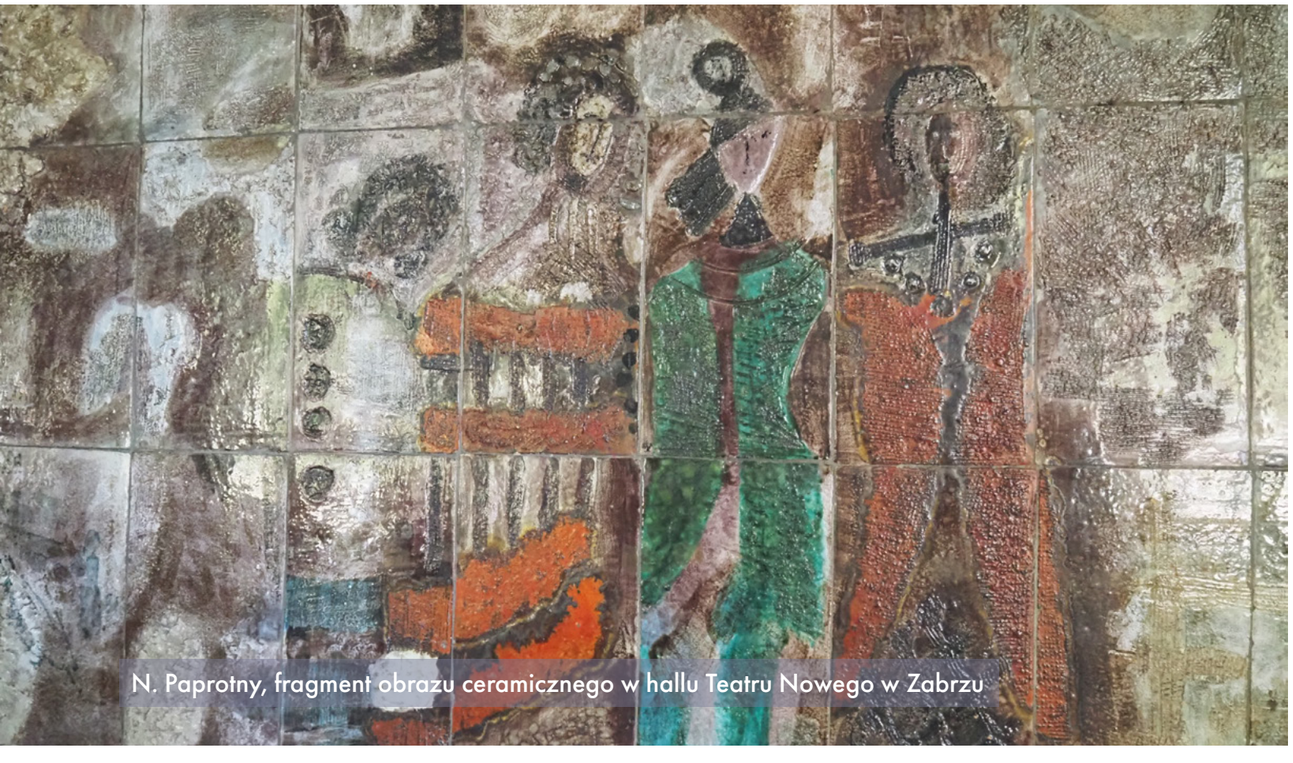
Zapewne łatwiejsze od tworzenia ceramicznego obrazu było ułożenie mozaiki z drobniejszych kostek, które osadzano w mokrym tynku zgodnie z przygotowanym wcześniej projektem. Z takich właśnie drobnych kostek (zwanych tesserami) ułożone zostały trzy mozaiki przy masztach hali widowiskowo-sportowej (MOSiR, ul. Matejki 6) w Zabrzu, która oddana została do użytku w połowie lat 70. XX wieku. Przedstawiają one narciarzy biegnących po śniegu, gimnastyczki ćwiczące z kołami oraz biegaczy konkurujących w wyścigu. Składające się na te kompozycje figury cechuje wprawnie oddana płynność ruchów. Są wykonane sylwetowo, jednak w obrębie ich konturów zastosowano sugestię światłocienia. Zwłaszcza postaci kobiece odznaczają się szczególną gracją tanecznych gestów i póz.

Gimnastyczki wydają się ukształtowane nieco inaczej niż narciarze i biegacze. Trudno jest jednak określić w sposób jednoznaczny, czy różnice pomiędzy poszczególnymi kompozycjami wynikają z odmiennych upodobań estetycznych małżonków

Masztowe mozaiki uznano niedawno za szczególnie ważne dzieło sztuki w przestrzeni miejskiej Zabrza, jednak dotychczas pozostawało ono anonimowe. Problem ten udało się rozwiązać dzięki informacji ustnej pozyskanej od jednego z konstruktorów hali, urodzonego w 1930 roku Fortunata Nowakowskiego, który niedawno jeszcze pojawił się w tym sportowym obiekcie jako konsultant. Zdołał on sobie przypomnieć, że ów unikatowy zespół wykonany został przez małżeństwo architektów z Warszawy, Danutę i Andrzeja Strachockich, którzy dotychczas nie byli znani z realizacji podobnego rodzaju zamówień.

Danuta Strachocka (1924-1995), z domu Biedrzycka, dała się poznać przede wszystkim jako projektantka Biura Projektów Budownictwa Chemicznego Prochem w Warszawie, w którym wraz z Jerzym Krajewskim i Józefem Trojańskim opracowywała plan generalny Zakładów Chemicznych Police (1969 rok). Jej mąż Andrzej Strachocki (1922-2004) zdobył sobie uznanie jako członek zespołów architektonicznych projektujących wielkogabarytowe hale sportowe. Przez pewien czas

prowadził wykłady w Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. W latach 1947-1972 wykonał wiele scenografii do sztuk teatralnych, m. in. do wystawionego w Teatrze Śląskim w Katowicach spektaklu „Wieczór Trzech Króli" w reżyserii Witolda Skarucha. W 1957 roku sporządził projekty przebudowy Teatru Powszechnego w Łodzi. Zajmował się także projektowaniem okładek książkowych. Jego autorstwa jest na przykład okładka książki Nathaniela Hawthorne'a, zatytułowanej „Szkarłatna Litera", którą wydano w 1947 roku. Współpracował z Maciejem Gintowtem i Maciejem Krasińskim m. in. przy projektowani Wojewódzkiej Hali Widowiskowo-Sportowej w Katowicach (Spodek, 1959-1961), biurowca Centralu przy ulicy Piotrkowskiej 165-169 w Łodzi (1964-1972) oraz Hali Widowiskowo-Sportowej „Podpromie" w Rzeszowie (1973-1989). Strachoccy ukończyli studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej w 1952 roku, chociaż już



N. Paprotny, fragment obrazu ceramicznego w hallu Teatru Nowego w Zabrzu

w czasie drugiej wojny światowej poznawali podstawy swojego przyszłego zawodu na tajnych kompletach. W czasie okupacji działali w Armii Krajowej. Znani byli m. in. jako fałszerze dokumentów konspiracyjnych. Pobrali się jeszcze w czasie wojny, w 1943 roku. Tuż po wyzwoleniu rozpoczęli pracę w Teatrze Miasta Warszawy, głównie jako twórcy scenografii. Jesienią zatrudnili się w Dziale Inwentaryzacyjnym Biura Odbudowy Stolicy. Chociaż w późniejszym okresie ich drogi zawodowe się rozeszły, wielokrotnie podejmowali zlecenia wspólne. Jednym z takich zleceń było wykonanie ilustracji do elementarza dla dorosłych, wydanego w Warszawie jeszcze w latach 40. XX wieku.

Wspominając ich pracę przy mozaikach zabrzańskich, Fortunat Nowakowski przedstawił ich jako parę działającą wspólnie. Wydaje się jednak, że można dostrzec pewne różnice stylistyczne w opracowaniu poszczególnych cokołów do masztów. Gimnastyczki wydają się ukształtowane nieco inaczej niż narciarze i biegacze. Trudno jest jednak określić w sposób jednoznaczny, czy różnice pomiędzy poszczególnymi kompozycjami wynikają z odmiennych upodobań estetycznych małżonków. Być może w przyszłości uda się przypisać im również inne tego typu dzieła i wówczas autoryzacja ich prac nie będzie nastręczała tylu trudności.

Niniejszy artykuł jest zaledwie wstępnym rozpoznaniem tematu, który wymaga jeszcze wielu uzupełnień. Jego podstawową zasługą jest ustalenie autorstwa Danuty i Andrzeja Strachockich w odniesieniu do mozaiki zdobiącej cokoły masztów usytuowanych przy hali sportowej MOSiR w Zabrzu. Należy mieć nadzieję, że przedstawione tu ustalenia zwrócą uwagę badaczy na nieco zaniedbaną dotychczas problematykę i przyczynią się do powstania dalszych opracowań w tym zakresie. ●



IRMA KOZINA

Historię sztuki w Uniwersytecie Jagiellońskim w Krakowie ukończyła w 1988 r. Jako stypendystka Gerda-Henkel Stiftung studiowała na Freie Universität w Berlinie. W 1996 r. obroniła w Uniwersytecie Wrocławskim pracę doktorską o pałacach i zamkach na pruskim Górnym Śląsku w latach 1850-1914. Habilitację uzyskała w Uniwersytecie Warszawskim w 2007 r., na podstawie publikacji pt. Dylematy architektoniczne na przemysłowym Górnym Śląsku w latach 1763-1955. Od 1998 r. prowadzi zajęcia z zakresu historii sztuki i dizajnu w Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Jest autorką wielu artykułów oraz książek (m.in. Art Deco, Ikony dizajnu w województwie śląskim, Polski design).

LIBERALIZM NIE BEZ ZASAD

PIOTR BENIUSZYS



Liberalizm nie miał w III RP wielkiego szczęścia do przedstawicieli w aktywnym życiu politycznym. Było wielu bliskich mu polityków o wielkich nazwiskach i kolosalnych zasługach, jednak wszyscy oni szli nieco na dystans, mieli eklektyczne światopoglądy i mówili idei wolności „tak, ale…". Marcin Święcicki jest liberałem tzw. pełną gębą.

Photo by Warren on Unsplash

Liberalizm jest dla wielu potworem malowanym jaskrawymi farbami na płocie według gustów i przesądów autora malowidła. Bardzo często zarzuca mu się niemoralność, czy raczej amoralność, jako że rzekomo głosi on, że „wszystko wolno", wszystko jest „równie dobre" albo wręcz „nie ma dobra i zła". Zarzut o brak zasad stawiają naturalnie obrońcy tzw. tradycyjnych wartości, którzy każdą wolność dokonania wyboru życiowego przez niezależnego człowieka stawiają na półce z napisem „relatywizm". Ale o nieludzki wręcz chłód oskarżają liberałów także piewcy tzw. sprawiedliwości społecznej, sugerując że liberalizm pochwala odwracanie się plecami od potrzebującego pomocy człowieka.

Czytelnika „Liberté!" nie trzeba przekonywać, że to wierutne bzdury dla słabo zorientowanych. Na poparcie obrony dobrego imienia liberalizmu, jako idei jak najbardziej opartej na silnych fundamentach moralnych, zyskujemy teraz solidne narzędzie w postaci liczącej blisko 500 stron książki Marcina Święcickiego – ministra ds. współpracy gospodarczej z zagranicą w rządzie Tadeusza Mazowieckiego, prezydenta Warszawy w latach 1994-99 oraz wiceministra gospodarki w rządzie Jerzego Buzka.

Książka ta jest zbiorem bardzo licznych tekstów publicystycznych i raportów z prac kierowanych przez Autora instytucji, który stanowi faktyczne sprawozdanie z prawie czterech dekad jego aktywności w życiu publicznym. Najstarsze teksty sięgają połowy lat 80-tych, gdy młody Święcicki jeszcze wierzył w możliwość reformowania upadającej gospodarki PRL-u, a najnowsze są sprzed kilku miesięcy, gdy mamy doświadczonego polityka, mogącego z niemałą satysfakcją spoglądać na swoją polityczną biografię, dorobek intelektualny oraz cały szereg zweryfikowanych przez życie prognoz.

Leszek Balcerowicz kiedyś powiedział, że na krytyce kapitalizmu w kapitalizmie można dobrze zarobić, zaś za krytykę socjalizmu w socjalizmie napytać sobie poważnej biedy. To ostatnie wymaga więc odwagi. Już choćby dlatego warto chwycić do ręki zbiór Święcickiego, aby przeczytać, jak w 1987 r. obnaża beznadziejne słabości gospodarki centralnie planowanej (i to na łamach „Trybuny Ludu"!). Fascynująca jest ponadto historia z czasu pracy w rządzie Mazowieckiego, kiedy Autor zwyczajnie „wystrychnął Rosjan na dudka" w sprawie spłaty zadłużenia PRL wobec ZSRR. To budzi satysfakcję zwłaszcza w świetle naszych dzisiejszych uczuć wobec Moskwy i aż dziwi, że Święcicki od 35 lat nie figuruje na jakiejś kremlowskiej „czarnej liście".

Kolejne rozdziały pokazują równocześnie osobistą drogę Autora, jak i kolejne główne wyzwania, przed którymi stawała III RP od lat 90-tych po okres współczesny. Przeczytamy więc o trudach transformacji ustrojowej i o zdrowieniu polskiej gospodarki, o wykuwaniu się ładu konstytucyjnego nowoczesnej Polski, o stopniowym wychodzeniu z ubóstwa,

przygotowaniu kraju do akcesji do Unii Europejskiej i o wkroczeniu Polski w dyskusje o przyszłości Unii, w końcu oczywiście o Ukrainie i geopolitycznym zagrożeniu, które wisi najpierw nad nią, ale potem i nad nami, o Warszawie, o relacjach polsko-żydowskich, o trudnym dialogu z prawicą, w końcu o prawach osób LGBT i przemianach obyczajowych.

Wiele poglądów Święcickiego jest oczywiście znanych i niespodzianych zwrotów akcji być tutaj nie może. To polityk o długim stażu i o stabilnych, dogłębnie przemyślanych poglądach, w dodatku osobowość bardzo racjonalna i całkowicie zrównoważona (co w polskiej polityce nie jest wcale oczywiste). Wiadomo więc, że w jego tekstach będzie poparcie dla transformacji w kierunku gospodarki wolnorynkowej, dla niskich podatków i prywatyzacji, dla konstytucji z 1997 r., dla wejścia Polski do NATO i UE, dla głębokiej integracji europejskiej idącej w kierunku budowy państwa federalnego w średniookresowej przyszłości, dla europejskiej i atlantyckiej perspektywy dla Ukrainy i dla maksymalnego wspierania tego kraju w starciu z rosyjską agresją, dla radykalnych sankcji wobec Rosji, dla wspierania demokratycznych ambicji we wszystkich innych państwach Europy wschodniej i na Zakaukaziu, dla silnych i niezależnych samorządów, dla uczciwości i otwartości w relacjach polsko-żydowskich, dla bliskiej współpracy polsko-niemieckiej i dla sojuszu polsko-amerykańskiego, dla liberalnych reform w odniesieniu do prywatnej sfery życia Polek i Polaków, a więc dla związków partnerskich czy liberalizacji ustawy o przerywaniu ciąży, ale równocześnie dla dobrych i przyjaznych relacji państwa polskiego z Kościołem katolickim, więź z którym Autor parokrotnie na kartach książki deklaruje.

Najstarsze teksty sięgają połowy lat 80-tych, gdy młody Święcicki jeszcze wierzył w możliwość reformowania upadającej gospodarki PRL-u, a najnowsze są sprzed kilku miesięcy, gdy mamy doświadczonego polityka, mogącego z niemałą satysfakcją spoglądać na swoją polityczną biografię, dorobek intelektualny oraz cały szereg zweryfikowanych przez życie prognoz

Kilka razy Święcicki jednak nie tyle zaskakuje, co wciąga mocno w swój tok myślenia. Gdy pisze o konieczności likwidacji Wspólnej Polityki Rolnej UE, powołania wspólnej Armii UE jako armii dodatkowej, niezależnej od wojsk państw członkowskich, gdy przywołuje swoje propozycje sankcji na import nośników energii z Rosji już po 2014 r. (!), gdy przestrzega Europę przed zbliżającym się niebezpieczeństwem utraty wschodu, gdy kreśli swoją koncepcję sprawiedliwego systemu podatkowego z multiplikowalną kwotą wolną, zależną od liczby osób w gospodarstwie domowym, gdy jeden po drugim zbija argumenty przeciwko przyjmowaniu euro. To są te niewysłuchane rady, trafne prognozy i ambitne propozycje programowe, przy których możemy żałować, że premierami Polski byli Pawlak, Oleksy, Marcinkiewicz, Szydło i Morawiecki, a nie Autor.

Książka Święcickiego jest długa, ale nie ma obowiązku czytać ją na raz czy od deski do deski. Czytelnie podzielona na przedziały tematyczne jest przyjazna dla odbiorcy. Umożliwia mu wybór tematyki lub epoki w rozwoju III RP, na których chce się głównie skupić. Do pozostałych tekstów można wrócić po kilku miesiącach czy nawet po roku, a nadal zachowają one swój walor. Liberalizm nie miał w III RP wielkiego szczęścia do przedstawicieli w aktywnym życiu politycznym. Było wielu bliskich mu polityków o wielkich nazwiskach i kolosalnych zasługach, jednak wszyscy oni szli nieco na dystans, mieli eklektyczne światopoglądy i mówili idei wolności „tak, ale...". Marcin Święcicki jest liberałem tzw. pełną gębą, a jego dorobek publicystyczny jest wyśmienity. Warto się z nim bliżej zapoznać. ●



Marcin Święcicki, *Liberalizm z zasadami*, Wyd. Nieoczywiste, 2024



PIOTR BENIUSZYS

Politolog i socjolog, tłumacz, specjalista w dziedzinie historii liberalizmu i ewolucji zachodnioeuropejskich partii liberalnych, członek zespołu redakcyjnego i publicysta „Liberté!", pisał także na łamach „Gazety Wyborczej", tygodnika „Polityka", „Dziennika Gazety Prawnej" oraz dla Instytutu Obywatelskiego. Autor książki „Bariery dla liberalizmu. Antologia tekstów" (Biblioteka Liberte, 2022). Twitter: @piotr_beniuszys



MANIFEST CIEMNOŚCI

CO JOHAN EKLÖF WIDZI W MROKU?

SYLWIA DZIEMIŃSKA

Warto przyjrzeć się bliżej, do czego nawołuje ten manifest. Do zauważenia tego, co się dzieje, gdy nic już nie widać. W tych kilku słowach można streścić w sposób bardzo uproszczony główne założenia książki. Do dostrzeżenia zanieczyszczeń, których określenie przez wiele lat znane było głównie wśród astronomów – zanieczyszczeń świetlnych.

Photo by Mikkel Frimer-Rasmussen on Un

Czy zdarzyło ci się siedzieć w ciemności? Z dala od blasku latarni, bez zerkania w telefon? Jeśli uda ci się ta trudna sztuka (zwłaszcza, gdy kuszący telefon jest w kieszeni), doświadczysz zmiany w widzeniu. Nie radykalnej, lecz jednak zauważalnej. Ta ciekawa konstatacja zawarta jest w książce *Manifest ciemności. O sztucznym świetle i zagrożeniu dla odwiecznego rytmu dobowego*. Nie wierzyłam autorowi. Sprawdziłam. Oprócz kilku siniaków (w przeciwieństwie do Johana Eklöfa nie jestem specjalistką) zdobyłam doświadczenie, które zostanie ze mną na długo. Uważam więc, że warto przyjrzeć się bliżej, do czego nawołuje ten manifest. Do zauważenia tego, co się dzieje, gdy nic już nie widać. W tych kilku słowach można streścić w sposób bardzo uproszczony główne założenia książki. Do dostrzeżenia zanieczyszczeń, których określenie przez wiele lat znane było głównie wśród astronomów – zanieczyszczeń świetlnych.

Jak działają? Oprócz tego, że nocne zwierzęta i owady tracą swoje tereny i łowiska, zaczynają się gubić. Nie wygląda to jednak tak, jak nasze zgubienie się choćby w centrum handlowym – człowiek pochodzi po sklepach, jak się zmęczy, kawusia, pytanie o drogę i *happy end*. Nocne stworzenia nawigują się za pomocą światła księżyca. Gdy takich „księżyców" pojawia się więcej, rodzi to kłopoty z kalibracją zegara biologicznego, zapylaniem roślin (jeśli ktoś marzył o byciu zwierzęciem, by nie pracować, rozczaruje się – nawet fauna działa na zmiany) i prokreacją. Zatarcie granicy między dniem a nocą prowadzi do eksterminacji gatunków.

Nie trzeba nikomu chyba przytaczać obrazu ciem krążących wokół lamp lub świec. Otóż, nie jest to zlot fanów sztucznego oświetlenia, poszukiwanie ciepła czy brak ciekawszych zajęć. Te ćmy właśnie się gubią. Błędnie nawigowane, straciły orientację w terenie i skupiają się wokół najbliższego punktu orientacyjnego. Zamiast zapylać kwiaty, rozmnażać się, z wolna się wyczerpują i giną, jeśli nie staną się łatwym łupem drapieżników. To tylko jeden z przykładów zaczerpniętych z książki.

Jeśli masz w sobie choć trochę ciekawości odnośnie do wpływu ciemności (lub raczej jej braku) na ekosystem (i, co oczywiste, człowieka), usiądź i przeczytaj o nim. Najlepiej w ciszy, spokoju, może w pobliżu tego niedostępnego świata?

Autor bardzo chętnie pokaże, co dzieje się z zegarem biologicznym (także naszym) pod wpływem światła, jak to wpływa na jakość

snu i jak człowiek szkodzi sobie i innym organizmom na kolejny bolesny sposób. Choć zanieczyszczenie światłem nie jest tak bardzo widoczne w skutkach jak śnięcie ryb w Odrze czy wyspy śmieci na Pacyfiku (i dzikie wysypiska w lasach), niszczy powoli i po cichu.

Nadmierne światło zagraża organizmom, których nie widać w dziennym świetle, a objawy zmęczenia u siebie człowiek próbuje zwalczać w Starbucksie czy na siłowni, szukając endorfin. A przecież zbawienne ograniczenie światła to nie jest droga, z której nie da się zejść kosztem ludzkiego życia czy bezpieczeństwa (tu muszę się przyznać do pewnej hipokryzji, jaką jest pisanie w nocy, ale nie od razu Rzym zbudowano). Czy książka jest więc apokaliptycznym ekoterrorem, którego autor nawołuje do życia w mroku pod groźbą natychmiastowej samozagłady? Nie. Jest relacją z życia nocnej zmiany naszej planety i prośbą o zrozumienie i zaprzestanie sabotażu. Szkodzi on bowiem zarówno sabotowanym (owadom, nietoperzom i innym stworzeniom, które próbują polować, rozmnażać się, zapylać rośliny – innymi słowy, żyć), jak i sabotującym. To ludzie spożywają rośliny gorszej jakości (i otaczają się nimi). To gatunki warunkujące ich istnienie giną w ciszy. To oni nie dosypiają, szkodząc własnemu zdrowiu i życiu. To wreszcie oni bezczelnie panoszą się na planecie, która jest dobrem wspólnym. I jak wspomina autor, dopóki noc nie odzyska swego prawa do bycia ciemną, ludzie nie zaznają prawdziwego odpoczynku.

Nocne stworzenia nawigują się za pomocą światła księżyca. Gdy takich „księżyców" pojawia się więcej, rodzi to kłopoty z kalibracją zegara biologicznego, zapylaniem roślin (jeśli ktoś marzył o byciu zwierzęciem, by nie pracować, rozczaruje się – nawet fauna działa na zmiany) i prokreacją. Zatarcie granicy między dniem a nocą prowadzi do eksterminacji gatunków

Jak to zrobić? Nie, nie trzeba cofać się do jaskiń i spowijać mrokiem, w nadziei, że nic złego się nie przytrafi. Wystarczy skłonić się ku pewnej ważnej regule, „każdemu według potrzeb". Autor pisał swe dzieło przygotowany do pracy i ma w zanadrzu kilka propozycji rozwiązań. Wie, że duże światło nie zawsze dodaje splendoru. Czasem po prostu wyłania megalomanię, co ani środowisku, ani świecącemu nie przynosi pożytku. ●

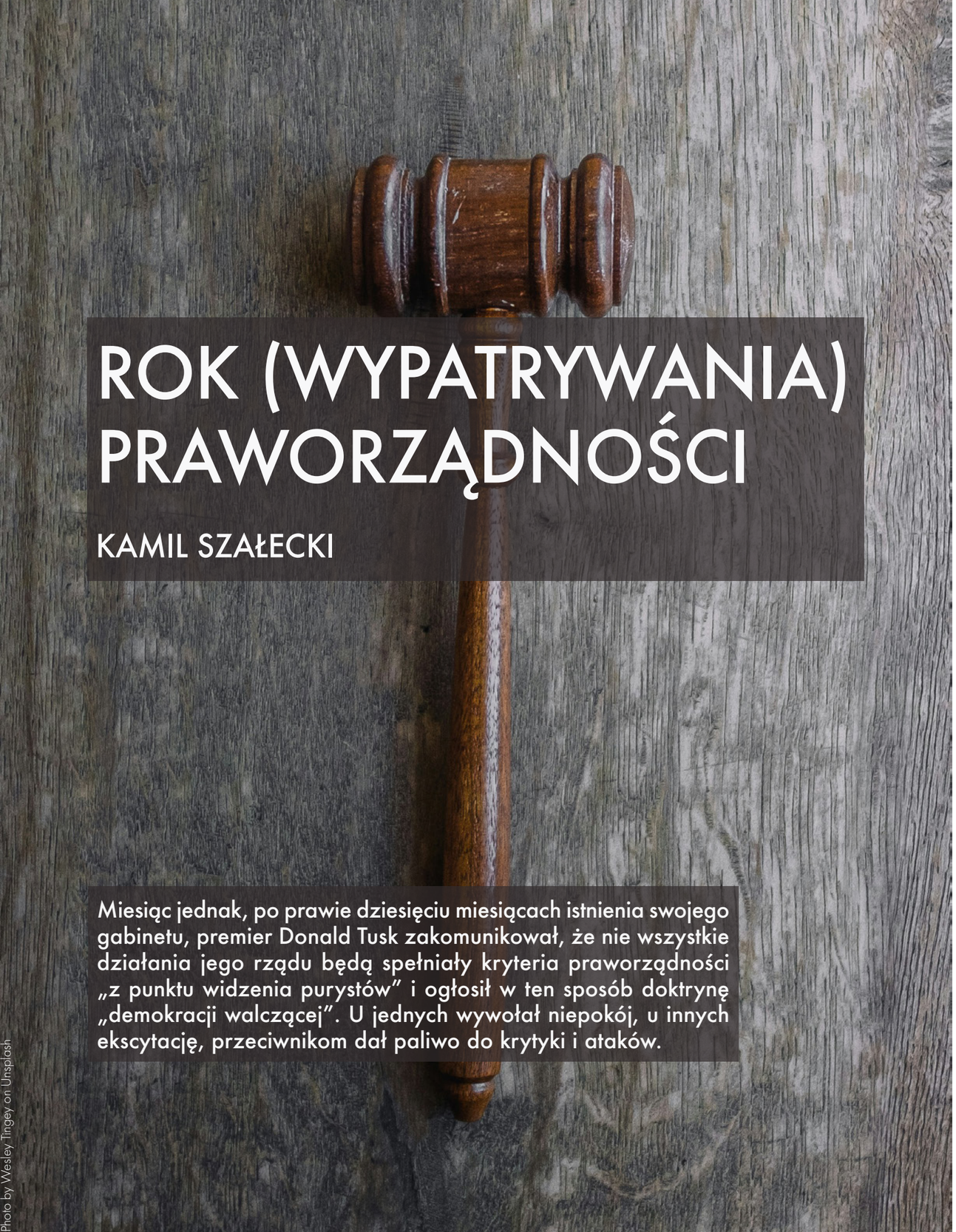


Johan Eklöf, *Manifest ciemności. O sztucznym świetle i zagrożeniu dla odwiecznego rytmu dobowego*, Wyd. Krytyka Polityczna, 2024



SYLWIA DZIEMIŃSKA

Absolwentka studiów na kierunku etyka-mediacje i negocjacje i filozofii. Zainteresowana zagadnieniami z obszaru praw kobiet i ochrony środowiska. Korektorka i redaktorka tekstów. Właścicielka firmy „Korekta przy kawie".



ROK (WYPATRYWANIA) PRAWORZĄDNOŚCI

KAMIL SZAŁECKI

Miesiąc jednak, po prawie dziesięciu miesiącach istnienia swojego gabinetu, premier Donald Tusk zakomunikował, że nie wszystkie działania jego rządu będą spełniały kryteria praworządności „z punktu widzenia purystów" i ogłosił w ten sposób doktrynę „demokracji walczącej". U jednych wywołał niepokój, u innych ekscytację, przeciwnikom dał paliwo do krytyki i ataków.

Photo by Wesley Tingey on Unsplash

Mija rok od wyborów parlamentarnych, w których istotnym czynnikiem, który doprowadził obecnie rządzących do zwycięstwa, była praworządność. Zawłaszczanie bądź, jak pisał profesor Wojciech Sadurski, „wydrążanie" instytucji, bezkarność i brak szacunku do prawa miały się skończyć. Miesiąc temu jednak, po prawie dziesięciu miesiącach istnienia swojego gabinetu, premier Donald Tusk zakomunikował, że nie wszystkie działania jego rządu będą spełniały kryteria praworządności „z punktu widzenia purystów" i ogłosił w ten sposób doktrynę „demokracji walczącej". U jednych wywołał niepokój, u innych ekscytację, przeciwnikom dał paliwo do krytyki i ataków.

Czyżby role się odwróciły i PO zamieniło się w PiS u władzy, a PiS stał się stojącą po stronie prawa opozycją? Czy może ponownie prawdziwe stało się zdanie Lorda Johna Actona o tym, że każda władza deprawuje, a władza absolutna deprawuje absolutnie? Łatwo w ten sposób budować symetrię, według której po jednych rządach autokratów bez szacunku do prawa przyszli kolejni i bardzo wygodnie im w butach poprzedników. Jeszcze inni mówią wręcz, że jest dużo gorzej niż było – władza nie uznaje przecież rozstrzygnięć niektórych organów, „starzy" sędziowie nie uznają tych „nowych", a do tego mamy dwóch prokuratorów krajowych.

Jak rządzący mogli doprowadzić do takiego chaosu? Otóż, być może nie mieli wyjścia. Jaka byłaby alternatywa? W obliczu blokującego działania rządu prezydenta (zarówno wetującego lub kierującego ustawy do TK, jak i np. niepodpisującego nominacji ambasadorskich) nowa większość parlamentarna musiałaby czekać połowę swojej kadencji na przeprowadzenie jakichkolwiek zmian, nie tylko będących jej programem wyborczym, ale po prostu na działania uzdrawiające chorą sytuację.

Przez 2 lata prokuratura byłaby bierna, tak samo jak przez poprzednie 8, wobec jakichkolwiek spraw związanych z politykami ustępującej władzy, którzy mieliby dostatecznie dużo czasu na przygotowanie się do późniejszych zarzutów. Wszystko to przez przyjętą pod koniec rządów PiS ustawę uzależniającą odwołanie prokuratora krajowego od pisemnej zgody prezydenta. Jej celem była bezkarność i paraliż.

Przez 2 lata na ekranach telewizorów wyświetlałaby się opłacana z pieniędzy publicznych szczujnia, której uświadczyliśmy przez poprzednie 8. Szczujnia, której zarząd został wybrany w niekonstytucyjny sposób, bo z pominięciem Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji, co potwierdził wyrok Trybunału Konstytucyjnego. Zarzutem wobec obecnej władzy może być fakt, że po

zatrzymaniu nielegalnie działającej TVP nie zaproponowano ustawy reformującej sposób działania mediów publicznych, tylko zatrzymano się na pożytecznej dla rządu obecnej sytuacji, „stanie likwidacji".

Nikt nie może winić też władzy za nieuznawanie rozstrzygnięć Trybunału Konstytucyjnego, którego praktyka działania (poza oczywistymi zarzutami dotyczącymi powołaniu części jego składu oraz wyboru prezesa TK) pokazuje jasno, jak politycznym organem się stał. Pokazują to chociażby tzw. zabezpieczenia – jedno z nich próbowało zablokować działanie chociażby sejmowej komisji śledczej ds. Pegasusa, inne zmiany dotyczące lekcji religii w szkołach, kolejne postawienie przed Trybunałem Stanu szefa KRRiT powołanego przez PiS Macieja Świrskiego, czy też cała seria innych decyzji TK, zawsze i nieustająco opowiadających się po myśli PiS. Trudno też oczekiwać od władzy, by ta przeszła do porządku dziennego i zaakceptowała fakt, że m.in. w Sądzie Najwyższym zasiadają osoby, których awans dokonał się dzięki Krajowej Radzie Sądownictwa powołanej z naruszeniem konstytucji i w sprzeczności z międzynarodowymi standardami.

Dwa porządki prawne?

Nie mamy dwóch porządków prawnych, dwóch koncepcji rozwoju wymiaru sprawiedliwości, czy równorzędnych racji opartych na pragnieniu dobra wspólnego. Jedna ze stron wykorzystała prawo jako narzędzie politycznej walki. Często w sposób niekonstytucyjny blokując system, który nie jest w stanie sam się naprawić. System, w którym konstytucji strzec ma „odkrycie towarzyskie" prezesa PiS, a Sądem Najwyższym rządzić koleżanka ze studiów prezydenta, którą wybrał on na to stanowisko.

Nie mamy dwóch porządków prawnych, dwóch koncepcji rozwoju wymiaru sprawiedliwości, czy równorzędnych racji opartych na pragnieniu dobra wspólnego

Jakie więc byłoby wyjście idealne? Poza jakąś formą resetu konstytucyjnego wymagającego niemożliwego do osiągnięcia na dziś kompromisu politycznego, nie ma takiego. Na pewno nie jest nim „przeczekanie" sytuacji do momentu wyboru nowego prezydenta, ponieważ problem przez ten czas będzie narastał. Można to w luźny sposób porównać do sytuacji, w której partia mająca w Sejmie większość konstytucyjną zmieniłaby ją wedle własnego uznania, po czym usunęła z niej rozdział dotyczący jej dalszej zmiany, nowelizacji czy wprowadzania poprawek. Dochodzimy wtedy do punktu, w którym przepisy jasno wskazane w prawie stają się bezradne.

Koalicja rządząca popełniła też zwyczajne błędy, jak np. w przypadku cofnięcia kontrasygnaty przez premiera Donalda Tuska. Nadal nadużywana jest też instytucja aresztu tymczasowego, wydaje się, że służąca często celom niemal wyłącznie politycznym. Można też stawiać rządzącym zarzut, że – mając od przynajmniej kilku miesięcy przed październikowymi wyborami świadomość, że istnieje szansa na zdobycie władzy – nie powstał cały pakiet ustaw i rozwiązań, który nowy rząd mógłby od razu przedstawić najpierw parlamentowi, a potem prezydentowi, pokazując jasno swoje intencje, pomysły i plan na przeprowadzenie procesu naprawy instytucji na ścieżce ustawowej, budzącej najmniejsze kontrowersje. ●



KAMIL SZAŁECKI

Student prawa na Uniwersytecie Warszawskim. Zaangażowany w ruch naukowy na Wydziale Prawa i Administracji. Członek Fundacji Nowy Głos. Miłośnik debat w formacie oksfordzkim. Katoliberał.



PIOTR BENIUSZYS

JUŻ ZA ROK... EMERYTURA

Platforma, jak wiadomo, straciła już raz władzę z powodu podniesienia wieku emerytalnego, więc podejście Polaków wobec emerytury wydaje się jasne. Lubimy myśl o nicnierobieniu na starość, wyczekujemy jej i wiążemy z nią pozytywne emocje. Jest to trochę zaskakujące, bo wokół emerytury krąży czarna legenda, którą w dodatku w pewnym stopniu wspierają dane: emerytura bywa niekiedy nie czasem błogiego wypoczynku, tylko bezlitosnym zabójcą, który zabiera jeszcze nie bardzo starych ludzi na tamten świat, gdy tylko odejdzie im codzienna praca, jako cel i rytm życia.

Tego chyba boi się Andrzej Duda, który na emeryturę przechodzi już niedługo i w bardzo młodym wieku. Jedną z atrakcji sezonu letniego 2025 będzie bowiem zwolnienie go z urzędu prezydenta, albo – raczej – uwolnienie urzędu od Andrzeja Dudy. Urząd ten sprawował (jeśli można użyć tego czasownika) on przez 10 lat, więc w życiu tego fana dmuchanych krabów szykuje się niemała zmiana.

Niby prezydencka emerytura powinna cieszyć jeszcze bardziej niż zwykła. Ale w tym przypadku bardziej niż Duda na emeryturę cieszy się reszta kraju. Co ciekawe, nie tylko zwolennicy obecnej koalicji, ale nawet słońce narodu, prezes Kaczyński, który Dudę tak lubi, że nie rozmawiał z nim od środkowego covidu.

Duda może boi się czarnej legendy emerytury, albo może jest pod wrażeniem wizyty w Czechach, gdzie pojechał na imieniny innego prezydenckiego emeryta Milosza Zemana i widok ten nie był zachęcający. Zeman nie poznał Dudy i szukał go wzrokiem, choć ten siedział zaraz obok. A przecież kiedyś był taki dalekowzroczny! Eurosceptyk nawet.

Duda, jako jedyny uczestnik spotkania, nie opublikował w soszjalach żadnych zdjęć z imprezy Zemana. Pewnie pod wpływem przedemerytalnego niepokoju, bo chyba nie dlatego, że wszyscy inni uczestnicy imienin to były pudelki Putina. Nowych inspiracji na czas emerytury postanowił poszukać w Pensylwanii, słynnym „swing-state", gdzie miał spotkać Donalda Trumpa – emeryta, który jednak chce wrócić do gry i niczym Rambo w czwartej części pokazać, że nadal ma to coś. Trump jednak wystawił Dudę do wiatru, więc ten musiał wrócić do kraju.

A w kraju Pałac Prezydencki powoli staje się takim swoistym DeLorean. Auto tej marki służyło Marty'emu McFly jako wehikuł czasu w trylogii „Powrót do przyszłości". I Duda także odbywa w Pałacu podróże w czasie. Jest to w końcu jakieś rozwiązanie. Gdy widmo emerytury gnębi, można się cofnąć w czasie. Już w grudniu Andrzej Duda gościł w Pałacu panów Wąsika i Kamińskiego, poszukiwanych przestępców, których on uznawał za posłów na Sejm RP, bo nimi w przeszłości byli. W ostatnich dniach prezydent odgrzał inny stęchły kotlet, goszcząc w Pałacu niejakiego Dariusza Barskiego i mówiąc, że to prokurator krajowy. Tymczasem Barski już od bardzo dawna jest na emeryturze, bo nigdy z niej skutecznie nie wrócił. Może długie życie Barskiego pomimo zakończenia kariery zawodowej miało podnieść Dudę na duchu?

Pałac Prezydencki staje się kultowym miejscem kultury retro. Zobaczymy, czym prezydent Duda nas jeszcze zaskoczy przed końcem kadencji. Może odwiedzi go Pamela Anderson w charakterze playmate miesiąca? Może prezydent ubierze dzwony i buty na koturnach? Może koncert da tam Nirvana, a Francis Fukuyama ogłosi koniec historii?

Ech, to tylko nostalgia. Ale koniec nadchodzi. Koniec nieudanej od A do Z prezydentury.

KRZYSZTOF KATKOWSKI

DWIE ŚMIERCI

Jest kilka
wierszy,
których nie napiszę.

Piszę z sedesu
i z pistoletu.

Nie ma
trzeciej drogi.

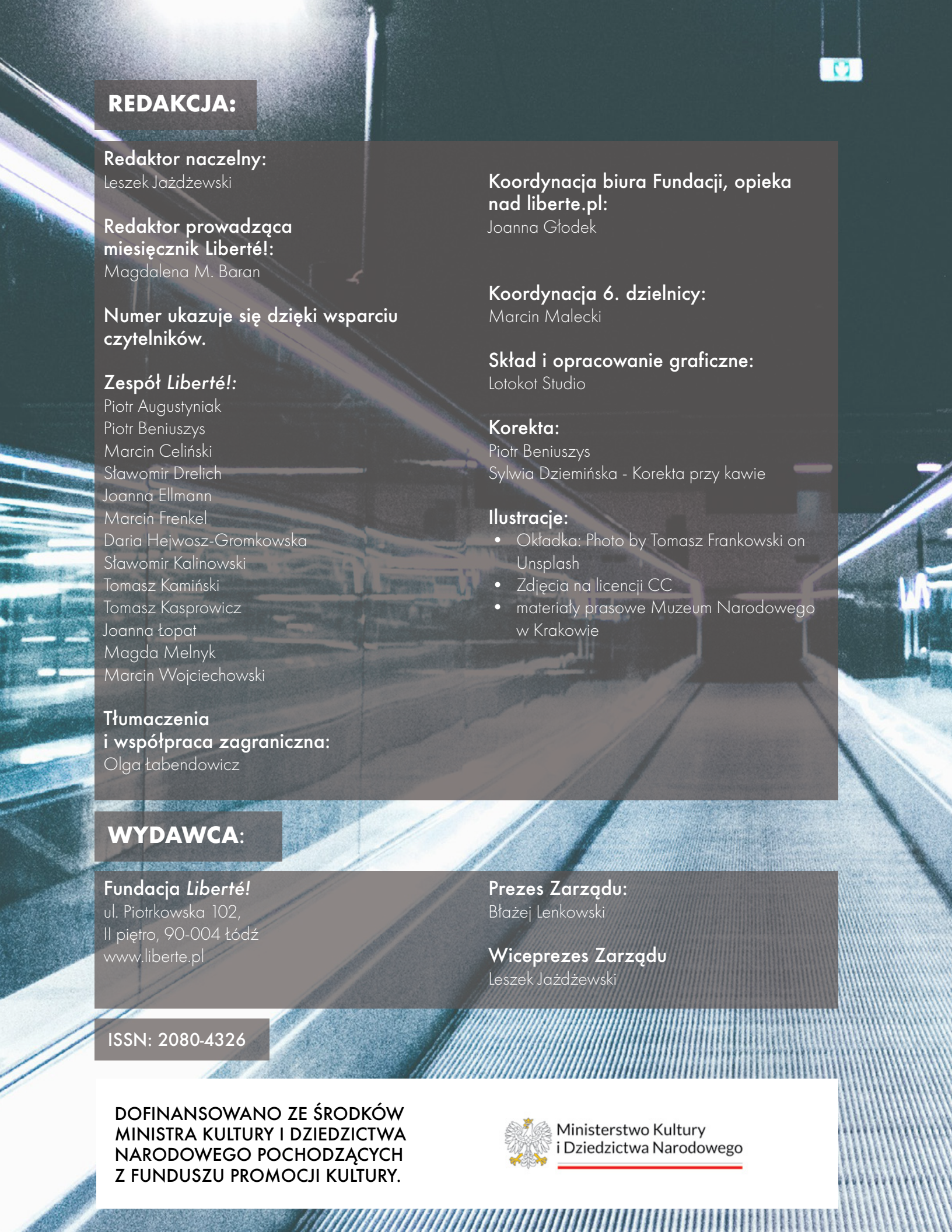
Nie ma innej możliwości,
także tej metafizycznej.



Photo by Kelly Sikkema on Unsplash

Krzysztof Katkowski (ur. 2001) jest socjologiem, tłumaczem, dziennikarzem i poetą przed debiutem książkowym; absolwentem Universitat Pompeu Fabra w Barcelonie i Uniwersytetu Warszawskiego. Współpracuje z *OKO.press*, „Kulturą Liberalną", „Dziennikiem Gazeta Prawna" i „Semanario Brecha". Jego teksty publikowały m.in. „la diaria", „Gazeta Wyborcza", „The Guardian" „Jacobin", , „Kapitàl noviny", „Polityka", „El Salto" i *CTXT.es*.

Wiersz wolny to nowa przestrzeń *Liberté!*, uwzględniająca istotne, najbardziej progresywne i dynamiczne przemiany w polskiej poezji ostatnich lat. Wiersze będą reagować na bieżące wydarzenia, ale i stronić od nich, kiedy czasy wymagają politycznego wyciszenia, a afekty nie są dobrym doradcą w interpretacji rzeczywistości.
Redaguje Rafał Gawin



REDAKCJA:

Redaktor naczelny:
Leszek Jażdżewski

Redaktor prowadząca miesięcznik Liberté!:
Magdalena M. Baran

Numer ukazuje się dzięki wsparciu czytelników.

Zespół *Liberté!*:
Piotr Augustyniak
Piotr Beniuszys
Marcin Celiński
Sławomir Drelich
Joanna Ellmann
Marcin Frenkel
Daria Hejwosz-Gromkowska
Sławomir Kalinowski
Tomasz Kamiński
Tomasz Kasprowicz
Joanna Łopat
Magda Melnyk
Marcin Wojciechowski

Tłumaczenia i współpraca zagraniczna:
Olga Łabendowicz

Koordynacja biura Fundacji, opieka nad liberte.pl:
Joanna Głodek

Koordynacja 6. dzielnicy:
Marcin Malecki

Skład i opracowanie graficzne:
Lotokot Studio

Korekta:
Piotr Beniuszys
Sylwia Dziemińska - Korekta przy kawie

Ilustracje:
- Okładka: Photo by Tomasz Frankowski on Unsplash
- Zdjęcia na licencji CC
- materiały prasowe Muzeum Narodowego w Krakowie

WYDAWCA:

Fundacja *Liberté!*
ul. Piotrkowska 102,
II piętro, 90-004 Łódź
www.liberte.pl

Prezes Zarządu:
Błażej Lenkowski

Wiceprezes Zarządu
Leszek Jażdżewski

ISSN: 2080-4326

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI KULTURY.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego